

Stanisław Ignacy Witkiewicz **622 upadki Bunga** **[scenariusz filmowy]**

1. W GÓRACH

Bungo i księżę Edgar Nevermore dokonywali mozolnej wspinaczki na stromej ścianie alpejskiego szczytu. W grubych swetrach, obwiązani linami przedostawali się z najwyższym trudem do wąskiej półki skalnej zawieszanej nad przepaścią wypełnioną białymi chmurami. Księżę Edgar snuł swój przerywany często monolog.

Edgar: – Mój drogi Bungo, jeżeli nie będziesz miał jakiegokolwiek pasma duchowego, jeżeli nie wytworzysz w sobie jednej stalowej osi, dokoła której mógłby się obracać cały skomplikowany system maszyny życiowej, staniesz się umysłowym arlekinem pozszywanym z łat. Widzisz, życia nikt ci nie zaszerwuje na półmisku, na obstalunek.

Bungo w milczeniu podciągał się na haku. Porywisty, zimny wiatr usiłował go odebrać od ściany.

Edgar: – Mój kochany, życie to jest arcydzieło albo farsa, które my z materiału naszego ja stworzymy. Wierząc mi, że to jest życie. Ale, mój drogi, my musimy mieć materiał, jakąś wściekłą siłę. Musisz mieć sztukę jako główny środek w tym względzie. Zrozum, że życie samo w sobie: gnić, obłapiać, zwyciężać, walczyć, pracować, łamać i być łamanym, to cel sam w sobie i środek.

Księżę Edgar podał dłoń Bungowi, wciągając go na półkę. Gdzieś w dole odezwał się grzmot schodzącej lawiny.

Edgar: – Ja te rzeczy poważnie traktuję. Zrozum, że życie a czyn to nie jedno.

Bungo stanął na półce obok Edgara. Za nimi widniały w różowym śniegu szczyty gór.

Bungo: – Edgarze, pomyśl, twoje zasady zdobywania siły i świadomego tworzenia życia są właściwie dla tych, którzy już do życia naprawdę nie są zdolni. Ty wtedy, kiedy żyć zechcesz, już nie będziesz miał czego przeżywać ani tworzyć. To jest właśnie błąd teorii mówiącej, że życie jest celem samo w sobie, że życie a czyn to nie jedno.

Edgar: – Jesteś trochę brutalny, Bungusiu.

Bungo: – Przepraszam cię, ale uważać sztukę jako środek do czegośkolwiek bądź jest dla mnie perwersją wprost niegodną człowieka o pewnej kulturze wewnętrznej. Sztuka żadnego bezpośredniego związku z życiem nie ma. Ma ten związek każda praca jako taka.

Edgar: – Życie twoje jest szeregiem przypadków, z których szczęśliwie, również przypadkiem, wychodzisz. Musisz nauczyć się samotności, tak jak musisz umieć rysować.

Bungo: – Właśnie dlatego, że sztuka jest zupełnie odrębnym światem, jest ostatecznym odbiciem jedności bytu.

Edgar: – Tylko bez metafizycznych dywagacji, my dear Bungo, trzymajmy się ściśle życia.

Bungo: – Nietzsche powiedział: „trzeba mieć chaos w sobie, aby porodzić tańczącą gwiazdę”.

Edgar: – Otóż to, żeby ta gwiazda nie była rakieta, którą można kupić w każdym sklepie.

2. WERNISAŻ FAGASSA

Bungo oraz baron Brummel czekali na otwarcie bramy tajemniczego domu. Gdzieś zegar bił jedenastą w nocy.

Lokaj bez liberii wprowadził ich do wielkiej secesyjnej sali na parterze. Przede wszystkim olśnił ich rażący blask czterech lamp łukowych wiszących u sufitu. Podeszedł do nich wysoki pan w okrągłych okularach na nosie i z brodą rozczesaną w dwa ogromne wiechcie. Brummel wręczył mu tajemniczy dokument. Jegomość rzucił okiem na podpis i twarz mu rozjaśniła się przyjemnym uśmiechem.

Jegomość: – Toutes les nuits de reception, autant que vous voudrez.

W środku sali stał stół olbrzymi pokryty całą masą tek z rysunkami i albumów. Koło stołu tłoczyło się całe towarzystwo. Kiedy Bungo i baron zbliżyli się do stołu, ujrzeli, że rysunki te przedstawiały jakieś dziwne stwory o cienkich nóżkach, wzdętych brzuchach i monstrualnie rozrosłych lyngamach. Wzdłuż ścian ciągnęła się jedna olbrzymia kanapa, na której gnieździły się grupy ludzi obładowanych również tekami i albumami. Były tam damy podobne do jakichś niezwykłych podzwrotnikowych ptaków, panowie o twarzach alfonsów, zbrodniarzy lub hermafrodytów. Gdzieś obok, chyba w drugiej sali, huczały przejmująco organy.

Mała dziewczynka lat najwyżej czternastu leżała w fotelu, flirtując z olbrzymem o kolosalnej fryzurze. Baron Brummel drgnął wyraźnie i zrobił się czerwony.

Brummel: – Inez, moje kochane dziecko, co ty tu robisz?

Dziewczynka podniosła się leniwie z fotela, uśmiechając się dwuznacznie.

Inez: – Co ja tu robię? Przecież umówiliśmy się tutaj, Brummelku, chociaż chciałeś mi zabronić.

Brummel: – Ja się umówiłem? Ach prawda, poznaj, drogi Bungo, moją matkę przyjaciółkę.

Bungo: – Jestem do usług.

Inez wpatrywała się w Bunga z tym nieruchomym uśmiechem.

Inez: – Przecież my się znamy, prawda, panie Bungo?

Brummel: – Co mówisz, mała szelmo? Popatrzcie. Wściekle.

Zszokowany baron pokazał ściany obwieszone obrazami, które rzeczywiście były po-tworne.

Na dwumetrowym płótnie trzy seledynowe kobiety o rudych włosach, obwiedzione grubym szmaragdowym konturem, tarzały się w jakiejś miazdze fioletowo-czerwonej, przeciętej żółtymi skrętami pogmatwanych linii. Brunatne, geometrycznymi krzywiznami

obrysowane ciała tańczyły wśród purpurowych palm o błękitnych pniach.

Szli w milczeniu wzdłuż ścian pełnych obrazów. Baron trzymał za rękę Inez, powtarzając szeptem: „wściekle, cholerycznie wściekle”. Wszystko, co widzieli, działało jak jakiś straszliwy, odurzający narkotyk, jak okropna trucizna, której się pragnie mimo pełnej świadomości jej niszczącego działania. Bungo myślał: „Czemu ja tego nie zrobiłem pierwszy?”.

Chrapliwy głos organów wzmógł się raptem. Wszyscy odwrócili się do drzwi, gdzie ukazał się nieduży człowieczek prowadzący młodą kobietę o oślepiającej urodzie.

Inez: – Voilà monsieur Fagasso.

Brummel: – Oto masz i mistrza.

Młoda kobieta ubrana była w długą, czarną, aksamitną suknię, wyciętą pod szyję, a pomarańczowy szal zarzucony miała na plecy. Lniane jej włosy ujęte były w loki dookoła głowy. Jej zielone skośne oczy przybierały chwilami wyraz nieprzytomny.

Bungo: – A ona?

Inez: – To Akne. Pani Akne.

Młoda kobieta zatrzymała się koło ogromnego i przerażającego obrazu. Wtedy uciły organy. A ona zaczęła śpiewać niskim głosem jakąś przerażającą pieśń. Jej zielone oczy o silnie rozszerzonych źrenicach i okolone prawie białymi rzęsami miały w sobie coś drażniącego i wciągającego. Była szczupła, ale czuć było pod ciężką suknią doskonale zbudowane ciało. Zdawało się, że jej ręce, o długich, miękkich palcach, aż niebieskawe w swej białości, mogą równie dobrze pieścić, jak skurczyć się nagle nie wiadomo czemu i do krwi poszarpać.

Baron Brummel trącił raptem Bunga.

Brummel: – Wynośmy się czym prędzej.

Bungo stał jak skamieniały.

Bungo: – To są rzeczywiście wściekle rzeczy.

Baron rozłożył się nagle.

Brummel: – Ty śmiesz mówić, że to jest wściekle? A ja ci mówię, że to jest nic jako sztuka. To jest straszliwa błąka, wewnętrzne kłamstwo.

Bungo: – Kłamiesz! Widziałem twoją twarz, kiedy patrzyłeś na to.

Inez podniosła palec do ust. Bungo ściszył głos. Przejmująca wokaliza Akne wypełniła całą salę.

Bungo: – W tym leży potworność tej rzeczy, że ona jest prawdą. Błąką może być całe otoczenie, ale ta sztuka jest prawdziwa.

Brummel: – Nie, to jest sztuka, która ma początek w niedołęstwie, a z niedołęstwa powstaje błąd. Błąd stworzył tę formę. On, ten mistrz Fagasso, pomylił się, bo nic nie umiał.

Bungo: – To jest dobre, co odpowiada temu, co dany artysta chce wyrazić.

Akne skończyła pieśń. Odezwały się frenetyczne oklaski. Ona stała na tle wielkiego obrazu z pochyloną głową.

Baron ujął pod rękę Inez.

Brummel (zimno): – Mój drogi Bungo, jesteś pijany albo odurzony. Do widzenia.

Bungo (szepciem): – Idź, idź sobie z tą małą kurewką.

Bungo spojrział w stronę śpiewaczki i zachwyt jego spotęgował się jeszcze bardziej. Widział ją teraz z profilu. Wyglądała na Madonnę któregoś z prymitywów włoskich, ale na Madonnę, do której pozowała mistrzowi jakaś włoska dama, operująca równie dobrze sztyletem, jak i trucizną, i która swoją dziwną i zbrodniczą piękną twarzą zmusiła go do nadania swych przewrotnych właściwości przeczystej Matce Syna Bożego.

3. U KSIĘCIA NEVERMORE'A

Nad łóżkiem wisiał ciemnowiśniowy baldachim o rozsuniętych firankach. Ta nieoświetlona sala przedstawiała niezmiernie dziwny widok. Stały tu olbrzymie stoły pełne skomplikowanych przyrządów; szafy, w których błyszcząły rządami słoiki z odczynnikami lub książki w ozdobnych oprawach; motor gazowy poruszający małe dynamo; bateria akumulatorów i model aeroplanu wiszący pod sufitem. Salę tę cechował jeszcze absolutny brak jakiegokolwiek dzieła sztuki.

Bungo zatrzęsnął za sobą drzwi. Wtedy zapaliła się lampa żarowa z zielonym szkłem, wyjmując z półmroku postać księcia Nevermore'a.

Edgar: – To ty, Bungusiu?

Bungo: – Tak, to ja.

Księżę przyglądał mu się chwilę z uwagą.

Edgar: – Jesteś jakiś zmieniony. Co ci jest? Zupełnie demonicznie wyglądasz.

Księżę rozłożył na ziemi czerwony materac i zaczął się rozbierać.

Edgar: – Może się w kimś zakochałeś? Ach, przepraszam. Może zrobiłem ci tym pytaniem jakąś przykrość?

Bungo (zmieszany): – Nie, jestem zmęczony, a przy tym myślę, co będę robił teraz. Mam wiele do załatwienia z sobą samym.

Księżę Edgar siadł nagi na materacu. Zapalił papierosa.

Edgar: – Oddam ci moje łóżko, a sam prześpię się na materacu.

Bungo zaczął zdejmować ubranie.

Bungo: – Jestem w okresie zasadniczych zmian życiowych i dlatego muszę mieć jakąś minę.

Księżę odrzucił papierosa i począł oglądać swoje poranione ręce. Potem drgnął, jakby chcąc wstać. Ruchy Edgara zrobiły na Bungu dziwne wrażenie. Edgar drgnął znowu i tym razem wstał, odwracając się tyłem do Bunga. Stał tak przez chwilę, jakby chcąc pokonać chęć jakęś. Nagle obrócił się, zszedł z materaca i zaczął iść ku niży, w której stało łóżo z baldachimem.

Bungo: – O czym myślałeś, że jesteś tak podniecony?

Księżę nie odpowiedział, tylko nagle przekręcił guzik od lampy, która oświetlała nyzę. Bungo zamarł z przerażenia. Twarz księcia była wprost okropna. Usta miał spieczone, półotwarte w głupkowatym uśmiechu, oczy bez binokli, mętne, ze zmieszonym wyrazem zbrodniczej żądzy, niemego błagania i jakiegoś wstrętnego smutku.

Bungo: – Chcesz?

Księżę skinął głową.

Bungo: – Masz też? Bez tego nie.

Edgar: – Poszukam.

Mówili obaj cicho, szybko, a jednocześnie zupełnie spokojnie i zimno. Księżę krokiem hieny podbiegł do szafki i zaczął szukać. Potem się odwrócił.

Edgar (z *ponurą, beznadziejną żądzą*): – Nie ma.

Bungo namyslił się krótką chwilę.

Bungo: – A więc perwersja i żądam rewanżu.

Mówił to zimno, jakby się targował w sklepie.

Edgar: – Dobrze.

Bungo: – Słowo?

Edgar: – Słowo.

Bungo: – Zgaś lampę.

Księżę skrzyknął lampę i wsłizgnął się pod baldachim. Bungo uczynił to samo. Spletli się w gwałtownym uścisku.

4. W GARDEROBIE OPERY

Bungo i znakomity pianista Bałwanow szli przez pustą, ciemną widownię wspaniałej, secesyjnej opery. W kanale orkiestrowym świeciło się jednak światło i słychać stamtąd było leniwe strojenie instrumentów.

Potem weszli w ciasny korytarz i Bałwanow zatrzymał się przed małymi drzwiami.

Bałwanow: – To tu.

Weszli do garderoby Akne i Bunga ogarnęła zupełna nieprzytomność i niezdarność. Było tu kilku panów w smokingach i posępny dyrektor orkiestry we fraku i z batutą w rękę. Ten dyrektor spojrzał na przybyłych z wyraźną wściekłością, widząc zazdrosny o śpiewaczkę.

Bungo ucałował rękę Akne.

Bałwanow: – To nasz przyjaciel, Bungo. Artysta i obserwator.

Akne: – Witam pana z radością. Taka jestem zmęczona tymi występami. Nie uwierz pan, jak to ogłupia. Może pan zapali większe światło.

Bungo spełnił jej prośbę. Zapaliły się jaskrawe lampy.

Akne: – Tak się dziwnie czuję niespokojna.

Leżała na kanapce w liliowym szlafrocisku. Miała na głowie olbrzymią perukę z rozpuszczonych jasnorudych włosów, a silna charakterystyka czyniła ją podobną do wielkiej lalki. Tylko zmęczone, silnie podkreślone oczy o rozszerzonych źrenicach patrzyły na niego z wyrazem prawie błagalnym, jak gdyby przepraszała go za wszystko, co widzi, i jak gdyby chciała, aby zrozumiał, że naprawdę wszystko jest inaczej.

Bungo: – Może pani zdziwi się tym, co powiem. Pani jest przyzwyczajona, że każdy, kto tu przyjdzie, leży przed panią na brzuchu jak przed egipskim bóstwem i czeka na taskawe słowa. Muszę pani powiedzieć, że mimika pani i cała jej postać zrobiły

na mnie nieskończenie silniejsze wrażenie niż głos. Ja absolutnie nie rozumiem śpiewu. Po prostu śpiew przeszkadza mi słuchać muzyki.

Akne leżała na wznak z półprzymkniętymi oczami i rozchylonymi wargami i spod rzęs patrzyła na Bunga drażniącym i kuszącym wzrokiem.

„Co z nią się wyrabia? Wygląda, jak gdyby była w najwyższym transie rozkoszy” – pomyślał Bungo.

Akne: – Ależ panie Bungo, pan jest młody i zrozumie pan kiedyś wszystko.

Bungo: – Nie, pani. Jestem przeciwnikiem wszelkiego sentymentu w sztuce. Śpiew nie może być abstrakcyjnym, to jest krzyk samego ciała i dlatego mówi tylko o uczuciach, nie mogąc dać nam zupełnie innego wymiaru, który nazwałbym metafizycznym.

Bungo zabrnął znowu w metafizykę i umilkł.

Akne: – Coś, co jest wyrażone, musi być uczuciem. Teraz pana złapałam.

Powiedziała to wesół śpiewaczka, która od pewnej chwili słuchała z rozpaczą wywodów Bunga.

Bungo (ze złością): – Wyrażone jest to, co wyrażonym być nie może – transcendentna jedność Bytu, odbicie jej w czystej formie, bez żadnych treści uczuciowych.

Akne (łagodnie): – Ach panie Bungo, pan za dużo myśli i dlatego pan nie czuje po prostu.

Bungo: – To trudno. Taki jest mój system.

Akne: – Musi pan to zmienić, panie Bungo. Niech pan chodzi częściej na operę, a będzie pan widział, że się pan zmienia.

Powiedziała to z ironią w głosie, a oczy jej wpiły się nagle z jakąś drapieżną ciekawością w oczy Bunga. Bungo zmieszał się trochę.

Bungo: – Wątpię. Mogę tylko zacząć uwielbiać panią. Ale żegnam panią i przepraszam, że ją nudziłem tyle czasu.

Akne: – Niech pan zostanie, tak przyjemnie się z panem mówi.

Słyszał w jej głosie ton rozpieszczonego dziecka.

Bungo: – Nie mogę. Jestem zanadto zdenerwowany i mogę powiedzieć jakieś głupstwo.

Akne: – Ależ panie, najpiękniejsza rzecz w życiu to nie tylko mówić, ale robić głupstwa.

Wyciągnęła do niego rękę. Rękaw jej opadł i widać było jej rękę aż poza łokieć, białą, aż niebieskawą, pokrytą złotawym meszkiem.

Nagle rozległ się dzwonek. Bałwanów pożegnał się z Akne. Panowie w smokingach ruszyli się z kątów.

Dyrektor: – Dosyć tych rozmów. Zaraz przedstawienie.

Uderzył batutą w kanapę i odszedł do drzwi, jakby wypraszając gości. Bungo ociągając się, ruszył do wyjścia. Ale tam zatrzymał się jakby powstrzymany dziwną siłą.

Akne zbliżała się powoli z ponownie wyciągniętą ręką. Patrzyła na niego prawie nieprzytomnie i jakby jakiś straszny ból skrzywił jej urożowane usta. Bungowi ścisnęło się

gardło raptownie. „Ona nie jest taka, jak myślałem. Musi być potwornie nieszczęśliwa” – szepnął sam do siebie.

Pocałował jeszcze raz jej przedziwną rękę, a potem spojrzał w jej rozszerzone oczy. „Czyżbym już ją kochał?” – pomyślał.

5. SEN BUNGA

Śnił mu się olbrzymi hotel pełen tajemniczych przejść i korytarzy, w którym roilo się od czarno zamaskowanych kelnerów. Potem znalazł się w małym pokoju, gdzie na ziemi stała dogasająca świeca. Na ziemi również siedział duży drab z zawiązanymi oczami, a obok niego, przy świecy, siedziała też na ziemi Akne w białej sukni, ucharakteryzowana. Między nimi a Bungiem siedział w środku pokoju na fotelu obrzydliwy dyrektor orkiestry. Chodziło o wykrycie zbrodniarza, ale każdy ruch mógł zgubić i Bunga, i Akne. Nagle wszedł do pokoju Edgar Nevermore i powiedział niezrozumiałe słowo: „filetyka”. Dyrektor zerwał się z fotela i schwycił Bunga za gardło. Drab z zawiązanymi oczami podpełzł szybko i podbił Bungowi nogi. Bungo lecąc w jakąś potworną ciemną przepaść, słyszał straszliwy krzyk Akne. Ale krzyk ten był jakby częścią jakiegoś śpiewu. Pomyślał: „Za późno”, i zbudził się w okropnym przerażeniu.

Było jeszcze ciemno.

„Kocham ją, naprawdę ją kocham” – wyszeptał.

6. PRZED OPERĄ

Bungo czał się pod kolumnadą opery. Z rzadka przechodziły chodnikiem obok gmachu spacerujące pary. Czasem rozlegał się klekot kopyt końskich i wtedy Bungo wyskakiwał z głębokiego cienia na ulicę. Ale powozy jechały dalej. Bungo wracał rozczarowany do swego ukrycia.

Wreszcie pokazał się ten, na który tak długo czekał. Od razu poznał Akne siedzącą samotnie na złocistym siedzeniu. Miała na sobie czarny, długi żakiet, który uwydatniał jej figurę indyjskiej bogini. Kapelusz miała też czarny z olbrzymim, białym strusim piórem. Wyglądała na lat dwadzieścia i była tak piękna, że Bungo uczył się onieśmiewiony.

Wyszedł na brzeg chodnika i czekał, aż powóz stanie.

Bungo: – Zdaje mi się, że pani mnie nie zrozumiała wczoraj. Ja nie jestem przeciwnikiem uczuć w ogóle. Ale sztuka dla mnie nic z życiem wspólnego nie ma; tak jak odwrotnie, życie artysty z jego twórczością.

Akne: – O tak.

Westchnęła i była jakby niecierpliwa i rozdrażniona.

Bungo: – Nie naginanie środków artystycznych do wyrażenia czegoś, czego one wyrazić nie są w stanie, lecz koncepcja wypływająca z samej natury zasadniczych elementów sztuki. Ja nie mówię, że śpiew albo rzeźba czy teatr nie są potrzebne i nie są piękne. Tylko że nie dają tego, co nazywam czystą sztuką.

Bungo spojrzał na Akne. Siedziała blada, z lekkimi wypiekami. Usta miała czerwone i nabrzmiałe i dolna warga drgała jej lekko, łakomie wysuwając się naprzód.

Widać było, że nie słyszy ani jednego słowa z całego wykładu. Wyprostowana patrzyła na niego trochę z góry lekko przymrużonymi oczami. Nagle Bungo uświadomił sobie, że ona myśli o jego ustach i gorący dreszcz wstrząsnął całym jego ciałem. Wyprostował się i spojrzał jej prosto w oczy. Akne odchyliła głowę, zarumieniła się silnie.

Akne (*twardym, nieprzystępnym głosem*): – Muszę iść do krawca. Niech pan mnie odprowadzi do wejścia.

Wstała niechętnie i leniwie. Bungo pomógł jej zejść ze stopnia powozu. Prowadził teraz do ogromnych, szalonych w secesyjnej ornamentyce drzwi opery. „Życie moje jest puste i bezcelowe” – pomyślał.

Bungo: – Ze mną jest źle. Nie widziałem pani przez parę dni i dni tych jakby wcale nie było.

Akne: – Niech pan odwiedza mnie częściej. Proszę, bardzo proszę.

Powiedziała to jakimś rozwlekłym, głuchym głosem i zniknęła w mrocznym jeszcze wnętrzu opery.

7. KONCERT BAŁWANOWA

Pianista i kompozytor zarazem, Bałwanow, kończył drugi temat i po repetycji całej części zaczęła się przeróbka tematu pierwszego. Bungo otworzył oczy. Bałwanow wyglądał wspaniale. Twarz jego spotworniała i przybrała wyraz okrutny i zawzięty. Pochylony całym ciałem, zdawał się wyrywać gwałtem dźwięki z fortepianu z jakimś strasliwym wysiłkiem. Akne, z oczami wzniesionymi w górę, z jakimś obłąkanym zachwytem, zdawała się nie rozumieć niczego oprócz strasliwego dramatu, który odbywał się między samymi dźwiękami.

Po Scherzu nastąpiło ponure Andante. Wreszcie Bałwanow zaczął grać przedziwny finał Sonaty, w którym muzyczne wzbebeszenie najbezdenniejszych otchłani zdawało się dochodzić do szczytu.

Bałwanow skończył utwór, spocony odszedł pod okno. Akne wstała i zaczęła rozmawiać z baronem Brummelem i z Inez, która wachlowała się wachlarzem. Reszta gości Akne siedziała ciągle jeszcze zasłuchana w dźwięki dogasające w jasno oświetlonym salonie.

Wtedy Bungo poczuł czyjś natarczywy wzrok. To książę Nevermore ukryty w głębokim fotelu wpatrywał się w niego nieruchomymi oczami. Uśmiechnął się nieśmiało i o coś poprosił wzrokiem. Ale Bungo udał, że nie rozumie tej prośby. Więc Edgar pokazał mu dyskretnie wolne krzesło obok siebie.

Ale w tym momencie odezwała się Inez kapryśnym tonem.

Inez: – Kochany mistrzu, proszę teraz zgasić światło.

Bałwanow uczynił zadość jej prośbie i siadł do fortepianu. Salon zaległy nieprze-niknione ciemności. Po czym na nowo zaczęła się muzyczna orgia, jeszcze strasliwsza niż przedtem. Bałwanow grał fortepianową transkrypcję jakiegoś potwornego poematu symfonicznego opartego na bizantyjskich motywach. W przerwach któryś z panów, może Edgar Nevermore, zapalał papierosa i blask zapalniczki oświetlał całe zgromadzenie, co potęgowało jeszcze wrażenie tajemniczości.

Nagle Bungo uczył, że Akne delikatnie oparła się o jego ramię, a po chwili cała jej ręka osunęła się, szukając jego dłoni.

Bungo nieśmiało wziął jej dziwnie miękkie i delikatne palce i uczył, jak pod jego dotknięciem zwijają się i rozwijają powoli. Przycisnął się do Akne całym ciałem, czuł na twarzy delikatne musnięcia jej włosów.

Nagle Bałwanow zakończył część pierwszą. Akne odsunęła się gwałtownie od Bungo i na chwilę jej ostre paznokcie wpiły się w jego rękę w jakimś tragicznie drapieżnym skurczu. Nevermore ponownie zapalił papierosa i na chwilę Bungo ujrzał rozchylone, wilgotne usta Akne i przyknięte z wyrazem zupełnego oddania się oczy. Po czym znów nastała ciemność. Bałwanow począł grać jakąś strasznie dziwną, bez określonego rytmu i tonacji, nieznanego dla Bungo typu kompozycję.

Akne oparła się znowu o Bungo, wstrząsając od czasu do czasu całym ciałem pod wpływem coraz groźniejszych i potężniejszych akordów. Nagle wyprężyła się strasznie i Bungo usłyszał jej cichy, stłumiony jęk. Wybełkotał coś niezrozumiałego i trzymając prawą ręką jej obie dłonie, objął ją lewą i przycisnął mocno do siebie. I uczył dotknięcie jej ust rozpalonych i wilgotnych, które błaskając się po jego twarzy, spotkały jego usta i wpiły się w nie straszliwym, bezprzytomnym pocałunkiem.

„Jak na złość widzę wszystko zimno” – pomyślał, i systematycznie zaczął rozcałowywać poddające się teraz w omdleniu usta Akne, podczas gdy rękami starał się odgadnąć kształt jej prężącego się pod jedwabną suknią ciała. Czuł jej rękę przesuwającą się nerwowymi ruchami powyżej jego kolana.

W tej chwili Bałwanow przestał grać i zamknąwszy z hałasem fortepian, wyleciał do drugiego pokoju. Przez niedomknięte drzwi wpadła cienka smuga światła. Bungo usłyszał płacz. Baron Brummel szybko zapalił zapalnik, a potem lampę. Akne odsunęła się gwałtownie od Bungo.

Baron obejmował troskliwie dziecinne plecy Inez. Ale to nie ona płakała. Edgar Nevermore zakrył twarz dłońmi. Jego plecy podrygiwały w powstrzymywanym szlochu. Po zostali goście również trzymali chusteczki przy oczach.

Bungo spojrzał na Akne. Siedziała teraz sztywna, wyprostowana, z obojętnym, nieodgadnionym wyrazem, tylko usta miała czerwone, nabrzmiałe od niedawnych pocałunków.

Powoli wszyscy zaczęli wstawać, zbierając się do odejścia. Zbliżył się baron Brummel. Schylił się, żeby pocałować rękę Akne.

Brummel: – Czy pamięta pani o jutrzejszym balu w pałacu księcia Nevermore?

Akne: – Niestety, kochany baronie. Jutro po operze mam koncert.

Brummel: – Ale może znajdzie pani czas? Wszystkim na tym zależy.

Bungo spojrzał na Akne. Ubrana była w jasną, perłowego koloru suknię obciskającą jej prześliczną figurę. Loki spadały na czoło prawie po same oczy. Siedziała bokiem do Bungo i mimo że twarz miała zimną i obojętną, czuć było niepokój i strach w całej jej postaci.

Akne: – Może. Może.

Z tyłu, za baronem, stał dyrektor orkiestry, pochrząkując złowrogo. typnął na Bunga wzrokiem pełnym nienawiści, skłonił się Akne, nie podając jej ręki i wyszedł.

Kiedy zostali sami, Bungo przesiadł się na kanapę obok Akne i zaczął całować jej rękę z najwyższą czcią i miłością, i szeptał zdławionym głosem.

Bungo: – Kocham panią, kocham. Nie mogę żyć bez pani. Muszę wszystko zmienić. Tylko niech pani mnie kocha. Ja już jestem innym przez panią.

Bungo uczył, że Akne gładzi go delikatnie po włosach i podniósł głowę. Patrzyła na niego z bezmiernym smutkiem i miłością, a usta jej poruszały się, jakby coś mówiła, ale Bungo nie słyszał ani słowa.

Nagle wyszeptała przez łzy zdławionym głosem.

Akne: – Oto pan widzi, takim jest moje życie.

I upadła na poręcz kanapy, kryjąc twarz w rękach i wstrząsając się dławionym łkaniem.

Bungo ujął jej rękę, zaczął mówić pewnym, twardym głosem.

Bungo: – Chcę teraz pani powiedzieć parę rzeczy i żądam od pani tego, żeby pani mnie absolutnie tak zrozumiała, jak tego chcę.

Ale w tym momencie otworzyły się drzwi do drugiego pokoju i ukazał się wzburzony dyrektor orkiestry.

Dyrektor: – A czy pani pamięta, że jutro gramy?

I trzasnęły ze złości drzwi.

Akne drgnęła całym ciałem i oczy jej z wyrazem strasznego niepokoju i błagania wpatrzyły się w oczy Bunga.

Akne: – Chodźmy na taras. Wyjdźmy stąd.

Znaleźli się na ogromnej platformie, pod którą były drzewa i uśpione domy. Wstawał świt, niebo płonęło czerwono na wschodzie.

Bungo: – Ja panią tak strasznie, tak głęboko kocham, że nie mogę postąpić inaczej.

Akne (*głuchym, bezdźwięcznym głosem*): – Pan mnie wcale nie kocha.

Bungo: – Myli się pani. Właśnie dlatego, że panią tak bardzo kocham, nie mogę być z panią teraz. Muszę się zmienić zasadniczo. Muszę się pozbyć wszelkiego kłamstwa wobec siebie. Muszę być zupełnie sam i kiedy wrócę, będę mógł być dla pani tym, czym być chciałem.

Akne wzięła jego rękę i patrząc mu nieprzymownie w oczy, rzekła zdławionym głosem.

Akne: – Kocham pana i wierzę. Nie znałam dotąd miłości. Pragnę jej tylko od pana. Niech pan wie, że w panu jest kres mego życia. Niech pan się strzeże, żeby pan nie zmarł tego uczucia, które mam dla pana.

Jej oczy wzniesione do góry stały się tak skośne i błysnęły tak złowrogo, że Bungo uczył jakiś tajemniczy lęk.

Bungo (*z mocą*): – Musi mi pani wierzyć.

Wziął w ręce jej głowę i chciał przyciągnąć do siebie.

Akne: – Nie tu. Nie jestem u siebie.

Bungo (zmieszany): – Ja nic nie chciałem, nie to.

Akne poddała mu się i Bungo objął ją, i przycisnął do siebie. Z niezmierną czcią jak największą świętość całował jej mieniące się w czerwonej łunie wschodu włosy. Przycisnął jeszcze raz Akne z całej mocy do swej piersi. Jeszcze raz ucałował jej czoło i nie oglądając się, zbiegł po schodach z tarasu.

Potem coraz wolniej i wolniej biegł przez park albo jakiś las, ze strumieniami i dziwnymi mostkami przerzuconymi ponad nimi. Odzywały się już ptaki. Przed nim wstawało wielkie, krwawe słońce.

8. BAL W PAŁACU BIRNAM

W hallu pałacu Birnam, własności księżnej Nevermore, przywitał Bunga Edgar. W głębi pałacu słychać było muzykę i gwar wielu głosów. Księżę Edgar mówił śpiesznie i wesoło, ale z pewnym zdenerwowaniem.

Edgar: – Mój Bungusiu, cudownie się składa, żeś nie zapomniał. Moja mama daje dziś bal, jakiego pałac Birnam, od czasu, jak stoi, nie widział.

Księżę był dziwnie podniecony.

Edgar: – Jestem wściekle zdenerwowany, ale trzymam się tego.

Bungo: – Widzę i dziwię się.

Edgar: – Nie dziw się niczemu. Jestem w drodze do bardzo istotnych przemian. Zaczynam pojmować, że jednak miałeś rację co do pewnych punktów w życiu.

Weszli do wielkiej sali, gdzie na kanapie siedziała księżna Nevermore będąca typem wielkiej damy i matrony polskiej. Oprócz księżnej znajdował się tu i Bałwanow z żoną Fenixaną. Śledziona, sekretarz księcia Edgara, dusząc się krawatem, absolutnie nie wiedział, co zrobić z rękami. Był i Brummel, ale sam, bo nie ośmielił się przyprowadzić Inez. Kilku dość jeszcze szczeniakowatych bubków z najwyższej arystokracji tłąkło się po sali. Edgar już rozmawiał z gruzińską księżniczką Keskeszydze, a Bałwanow tłumaczył coś jednemu z bubków, włączając nań formalnie całym ciałem. Miał byczy kark i głowę rzymskiego cezara.

Bałwanow: – Mam fagot, pięć waltorni, szesnaście kontrabasów i dwadzieścia osiem puzonów...

Bungo przechadzał się wśród gości, jakby kogoś szukając i bojąc się zarazem, że tego kogoś znajdzie. Ogromna sala wypełniała się coraz bardziej. Lekarz domowy pałacu Birnam, Riexenburg, robił jakiś wykład zgłębnionemu sekretarzowi Śledzienie.

Riexenburg: – No oczywiście, słuchajcie. Mocz wytwarzany w nerkach gromadzi się w pęcherzu, a stamtąd...

Orkiestra zagrała poloneza, którego poprowadził filozof i teoretyk sztuki o demonicznych oczach, Childeryk, a prowadził ze starą księżną Nevermore. Ten taniec rozpoczął bal.

Potem była kolacja. Edgar, podpity już porządnie i wściekły, siedział naprzeciwko Bunga i Fenixany.

Edgar: – Mój stosunek do ciebie, Bungusiu, komplikuje się coraz bardziej.

Bungo: – Byłby o wiele więcej skomplikowany, żebym miał frak lepiej uszyty.

A potem rzekł do Fenixany.

Bungo: – Oto są skutki maszyny życiowej. Jedno kóteczo się skrzyło i wszystko zaraz diabli biorą. Czy pani poznaje, że to ten sam człowiek?

Orkiestra już się urzęła i nie mogła grać dalej. Baron Brummel podniósł do góry pusty kieliszek.

Brummel: – Bałwanow! Prosimy mistrza Bałwanowa!

Bałwanow, zgrzytając zębami, zaczął grać na fortepianie walca z *Rozwódki*. Na to zerwał się Teodor Buhaj, znany poeta i poprosił żonę Bałwanowa, Fenixanę, do tańca. Był już zupełnie pijany i z trudnością wstrzymywał się, żeby nie kłąć po rosyjsku, będąc wielbicielem kultury rosyjskiej. Bałwanow łypnął raz okiem i zaczął grać coraz prędzej, co tylko pogorszyło sytuację. Buhaj dusił wprost Fenixanę, tańcząc z szybkością obrotową śmigła aeroplanu w takt muzyki Bałwanowa. Bałwanow łypnął drugi raz i nagle, zrzucając klapę fortepianu, która z całą siłą uderzyła w klawisze, rzucił się odrywać Buhaja od Fenixany. W sali powstało zamieszanie. Edgar i Fenixana, uczepieni po obu bokach Bałwanowa, błagali go, aby się uspokoił.

Bałwanow: – Ten bałwan, wi pan, jak śmiał... wi pan... marmeladę z niego zrobię...

Wywlekli go do saloniku obok, położyli na kanapie. Doktor Riexenberg biegł z kubłem lodu, żeby zrobić okład na głowę.

Bungo zbliżył się do fotela księżnej, żeby się pożegnać. Podała mu śmiertelnie zimną rękę. Mruczała coś, chichocząc.

Księżna: – Ludzie przychodzą z Małopolski... i mają maskę... już samo przerażenie znieść nie może...

Tymczasem w saloniku na kanapie siedział Bałwanow bez kołnierzyka i pił chartreuse, trącając się kieliszkiem z Buhajem. Właśnie wypili bruderszaft.

Bałwanow: – Bo wi pan, panie Teodorze, Wagner nie rozumiał znaczenia waltorni...

Obok księżę Edgar płakał nie wiadomo czemu, wycierając się serwetką od kubła z lodem.

Buhaj: – Mów mi „ty”, ty stały Bałwanie. Twoja żona jest kułtyzana, tu jest tłójką. Ja muszę moje bebechy otworzyć, jak się upiję. Ja jestem szczęły chłop, ty stały skutczybyku.

Księżę Nevermore ocknął się raptownie.

Edgar: – Tak, panie Buhaj, ale pańskie bebechy śmierdzą.

9. DRUGI SEN BUNGA

Biegł za Akne po schodach jakiejś brudnej, ohydnej kamienicy. Uciekała przed nim ubrana w czarną, obcisłą suknię. Nagle zniknęła w jakichś drzwiach. Bungo dobijał się i otworzył mu te drzwi Edgar Nevemore. Był to jego pokój, pokryty zielonawo-białymi plamami pleśni, a Edgar był cały jakby z tej samej pleśni zrobiony. Bungo pytał go, gdzie jest Akne. Ale Edgar był niemy. Wskazał ręką drzwi w głąbi. Bungo otworzył je i ujrzał jasno oświetloną salę. Akne siedziała przy stole. Był dyrektor orkiestry, baron Brummel,

Inez i mnóstwo innych ludzi. Wszyscy wili się w jakichś potwornie wyuzdanych ruchach, przekręcając się jedni przez drugich. Akne patrzyła na niego, nie poznając go wcale. Bungo spytał barona, co to znaczy. Brummel odparł, jakby to była rzecz najnaturalniejsza w świecie: „To jest gimetyzm, nowa perwersja” – i zaczął znów wic się i przekręcać w ohydny sposób. Nagle okropny blask oślepił Bungowi oczy. „Teraz dopiero zaczną się dzieć rzeczy naprawdę potworne” – pomyślał i zbudził się obłany słonecznym światłem.

10. W PRACOWNI BUNGA

To światło słoneczne przebijało zastłony na oknach, wdzierało się szparami między parapetem i firankami. Było już zabarwione czerwinią, gdyż zbliżał się wieczór następnego dnia po nocy balowej.

Ktoś pukał natarczywie do drzwi. Bungo wstał, nałożył wspaniały szlafrok japoński i klucząc między sztalugami, podszedł do drzwi, żeby je otworzyć.

Na progu stała Akne zadyszana, ze strachem w rozszerzonych oczach. Ubrana była w szary płaszcz i czarny, prosty kapelusz.

Bungo: – Czekam na panią. Proszę wejść.

Akne: – Skąd pan mógł wiedzieć?

Onieśmielona, zdjęła desperacko kapelusz.

Bungo: – Może pani usiądzie. Pokażę pani moje prace.

Uczyniła zadość jego prośbie. Zaczął pokazywać rysunki, które ona przeglądała z roztargnieniem.

Akne: – Bardzo ciekawe kompozycje figuralne... To przepyszne w ruchu... Doskonałe...

Bungo wziął krzesło i usiadł przy niej. Nie patrząc na nią, ujął jej rękę i zaczął całować delikatnie jej cudownie piękne, długie palce. W pewnej chwili podniósł głowę i spojrzał jej w oczy. W bladym odbłasku zorzy widział jej twarz, fosforycznie białą i jej przedziwne, obłąkane oczy i ciemnokrwawą plamę jej ust rozchylonych. Potem ujrzał jej oczy tuż przy swoich i zaczął całować jej miękkie, wilgotne, drgające i poddające się usta, które stały się łakome i gorące, a ciało jej skręcało się i rozwijało na powrót niby ciało pełznącego węża. Nagle wyprężyła się strasznie i uniosła się na fotelu, a usta jej wpiły się w usta Bunga. Bungo objął ją i przyciskając z całej mocy do siebie, wstał z krzesła i podniósł ją z fotela. Akne cisnęła się do niego całym ciałem, całując nieprzytomnie jego usta i Bungo czuł, że powinien w tej chwili powalić ją na łóżko.

„Jestem zupełnie zimny i obojętny” – pomyślał. – „Kocham ją bezgranicznie i mimo to jest mi zupełnie obcą”. Zaczął się nagle śmiać jakimś okropnym, wymuszonym śmiechem.

Wyrwała mu się z rąk ze strasznym niepokojem.

Akne: – Co ci jest?

Bungo (prawie obojętnie): – Nic. To jest nerwowy śmiech.

Akne usiadła z powrotem na fotelu, a Bungo osunął się na kolana, przyciskając się do jej nóg i obejmując ją rękami. Ostatni refleks słońca zapalił płótno stojące

na sztaludze. Wyrzała stamtąd ledwo naszkicowana twarz Akne i żywa Akne nie mogła oderwać oczu od tego widoku.

Bungo (zduszonym głosem): – Nie chcę, żebyś była moją, zanim naprawdę nie będziesz moją.

Akne milczała przez chwilę, a potem powiedziała głuchym, martwym głosem.

Akne: – Nie będę dotąd twoją, póki nie skończę moich własnych rachunków w życiu.

Podniósł się i objął Akne za szyję, ale kiedy chciał ją pocałować w usta, odsunęła go łagodnie.

Akne: – Muszę już iść. Jest już bardzo późno.

Wstała, szukając kapelusza.

Bungo: – Zaczekaj, błagam cię.

Powiedział to bez przekonania, pomagając jej się ubrać. Ucałował jej usta, czego mu nie broniła wcale, po czym odprowadził ją do drzwi.

Bungo: – Kiedy przyjdiesz znowu? Kiedy mam czekać?

Akne: – Nie wiem. Może w ogóle nigdy nie przyjdę.

I zatrasnęła szybko drzwi za sobą.

11. SPACER NAD MORZEM

Słońce już zaszło i wiatr wiał od strony morza, pędząc z nieskończonej dali pieniste bałwany. Na wschodzie wstawał złotawo-pomarańczowy księżyc w pełni. Brummel z Inez, księżniczka gruzińska Keskeszydze i Bungo szli w milczeniu brzegiem morza przejeżdżąc do głębi niepokojem, który przenikał całą naturę.

Pierwsza odezwała się Inez.

Inez: – Jaki dziwny wieczór, prawda, panie Bungo? Zdaje się, jakby coś złego miało się stać lada chwila. Taka jestem niespokojna. Zdaje mi się, że to życie mówi do mnie i woła mnie gdzieś, w jakieś niezbadane otchłanie. A ja żyć nie mogę i nie chcę.

Bungo: – Zdaje mi się, że pani żyje tak jak my wszyscy. Nie wiem, czego pani chce więcej od życia.

Inez wstrząsnęła się w jakimś dziwnym dreszczu.

Inez: – O nie, panie Bungo. Ja nie żyję. To się tak wydaje. Ja patrzę i czasem się bawię, a czasem chciałabym coś potwornego zrobić, jakąś zbrodnię popełnić czy pójść do domu publicznego, czy nie wiem co. Nie gniewaj się, Brummelku.

Wzięła barona pod rękę. Brummel miał okrągłą, kształtną czaszkę, pokrytą gładko zaczesanymi włosami. Typowo krótkowzroczne, zielone oczy wychodziły mu z orbit przy lada sposobności. Teraz do tego wargi wydeły mu się z pogardą i robił wrażenie kogoś niezmiernie starego, trwającego od wieków już bez żadnej zmiany.

Brummel: – Ależ proszę cię, wal dalej, moje dziecko.

Inez: – Ty tego nie rozumiesz. Chciałabym poznać wszystko, co może być najgorszego i na dnie ostatnich już rzeczy znaleźć to, czego szukam. Pan, panie Bungo, żyje naprawdę. Pana życie musi być cudowne.

Bungo: – Zupełnie się pani myli. Dopiero teraz jestem na drodze do stworzenia czegoś innego, ale nie wiem, czy mi się to uda. Chcę połączyć twórczość artystyczną z pełnym, świadomym opanowaniem życia samego w sobie.

Inez: – Księżę Nevermore na przykład jest podobny do mnie. On będzie moim przyjacielem, on będzie rozumiał to, o czym ja myślę, bo jest tak bardzo poza życiem.

Mówiła to, patrząc natrętnie w oczy Bungo. Bungo zatrzymał się raptownie.

Bungo: – Może pani zgodziłaby się pozować mi do portretu oficjalnego?

Zaledwie Inez zdążyła otworzyć usta, przerwał jej ostro Brummel.

Brummel: – Panna Inez pozuje wyjątkowo tylko mnie. Jest niezmiernie zajęta.

Weszli do nadmorskiego parku. Wiatr dął coraz silniejszy i na tle jednostajnego szumu drzew parkowych słychać było miarowy huk fal uderzających o skały. Księżyc zdawał się płynąć szybko wśród mijających go postrzępionych obłoków. Stanęli tuż nad morzem oparci o wystającą skałę i patrzyli na czarną, ruchomą otchłań wodną, pełną węzowych, pienistych skrętów, odbijającą ostrymi zadrami księżycowe światło.

Bungo przysunął się do księżniczki Keskeszydze.

Bungo (szepcąc): – Niech pani sobie wyobrazi teraz, że ci ludzie, którzy nic wspólnego ze sobą nie mają, starają się to wszystko pokonać jakimś strasznym zapomnieniem o sobie, jakąś potworną zmysłowością.

Keskeszydze: – Pan jest wielkie dziecko, wielki, potworny chłopczyk.

12. WIZYTA AKNE

Bungo wracał po schodach do swojej pracowni. Zatrzymał się przy drzwiach i zaczął szukać klucza. Ale klucz był niepotrzebny, bo drzwi okazały się niedomknięte. W raptownym przecuciu wpadł do pracowni.

Akne, smutna i roztargniona, siedziała na tym samym fotelu, co przedtem, obok zapalanej lampy gazowej. Bungo rzucił się ku niej i, całując ją w usta i gniotąc ją resztkami mijającej już niestety furii, zaczął mówić gorączkowo.

Bungo: – Kocham cię, żyć bez ciebie nie mogę, nie bądź taką jak wczoraj, bo zwariuję. Zupełnie nie czuję tego, że mnie kochasz. Mam wrażenie, że cię wcale nie ma. Nie wierzę, że jesteś naprawdę i męczę się strasznie. Kochaj mnie i nie oddalaj się ode mnie.

Akne: – Chodź, usiądź tu przy mnie.

Pociągnęła go w stronę łóżka. Zdjęła palto i rozciągając się na łóżku, mówiła do brym, kochającym głosem.

Akne: – Ja się położę, bo jestem strasznie zmęczona, a ty siadź tu koło mnie i będziemy mówić o wszystkim.

Bungo: – Jestem tak skręcony wewnętrznie, że czasem w najprostszych sytuacjach głowę tracę. Robiłem ohydne rzeczy, wstrętne perwersje. Nie masz pojęcia, jak to niszczy wszelkie siły.

Gładziła go ręką po włosach, patrząc na niego z beznamiętną litością i współczuciem.

Akne: – Powiedz mi wszystko, proszę.

Bungo: – Nie mogę, przestałabyś mnie kochać.

I zaczął całować jej zimne, ściśnięte usta.

Akne: – Wiesz co, rozbierzemy się.

Rzeka to niewinnie, a jednocześnie bezwstydnie i kusząco.

Bungo: – Nie, nie, nie teraz, później.

Bełkotał, całując jej usta i nagle zwałił się na nią całym ciałem. Akne odwracała głowę, uciekając przed jego ustami. Widział przez chwilę jej profil, uśmiechnięte usta i przysłonięte złotawymi rzęsami omdlałe oczy. Potem stracił przytomność i nagle ocknął się, nie wiedząc właściwie, co się stało. Nie czuł żadnej rozkoszy.

„Tak, posiadam cię, i to bez żadnej satysfakcji” – pomyślał i uśmiechnął się głupkowato.

Akne leżała bezwładnie z przymkniętymi oczami. Usta jej drgały nerwowo, a cała twarz miała zmieszany wyraz lekkiego zawodu, figlarnej wesołości i pogardliwego lekceważenia.

Bungo podniósł się i zaczął ją rozbierać. Poddawała mu się z zupełną uległością i Bungo ze straszną, zimną ciekawością oglądał wyłaniające się z różnych skomplikowanych ubrań i koronek jej przedziwne, tajemnicze ciało. Widział w niepewnym świetle lampy jej dziewczynkowate, małe piersi z dużymi, różowymi, obrzmiałymi końcami i jej cudownie sklepiony brzuch, i niesłychanej białości, przepięknie związane biodra. Badał to wszystko tak, jak gdyby po raz pierwszy w życiu miał przed sobą jakiś stwór dziwny, a nie kobietę. Potem położył się obok niej i teraz na czas dłuższy stracił znowu przytomność.

Akne poddawała się wszystkiemu z jakąś dziwną, pełną litości uległością. Całował jej ciało z niezmierną czcią i miłością, a ona gładziła go lekko po głowie swoją przedziwną drapieżną rączką.

Nagle objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie.

Akne: – Połóż się tu, obok mnie. Muszę ci coś powiedzieć.

Kiedy przycisnął się całym ciałem do niej, ukrywając twarz w jej rozrzuconych włosach, zaczęła mówić cicho do jego ucha.

Akne: – Pierwszy raz stosunek miałam jeszcze jako dziecko...

Wyglądało, jakby to, co mówiła, było już dawno obmyślane i przepowiadane wiele razy w myśli jak lekcja. Słuchając tego, Bungo drętwiał chwilami z przerażenia.

„Że ona dotąd żyć może” – myślał. – „Że jest jeszcze taką, że nie stała się jakimś strasliwym potworem albo że nie zginęła zamęczona przez tych wszystkich strasznych, zdegenerowanych mężczyzn”.

Kiedy skończyła, Bungo ucałował jej usta, oczy i ręce i zapytał.

Bungo: – A teraz powiedz, czy ja, takim, jakim jestem w tej chwili, mogę być czymś dla ciebie takim, co by przeważało te wszystkie okropności, o których mówiłaś?

Akne objęła Bungo i całując go w oczy i usta z najwyższą miłością, odpowiedziała.

Akne: – Tak, możesz być wszystkim dla mnie.

Bungo zapalił drugą lampę i znowu patrzył na nią zupełnie nieprzytomny z zachwytu.

Twarz jej otoczona rozpuszczonymi włosami miała teraz wyraz triumfu, a spomiędzy jej niesamowicie białych bioder widać było jasne, dziwacznie ułożone włosy, wyglądające jak jakieś dziwne płomienie wybuchające z jej do białości rozpalonego ciała.

Akne teraz zaczęła oglądać Bungo dokładnie i dobrze musiał wypaść ten egzamin, bo uśmiechnęła się z bezwstydnym zadowoleniem i Bungo przyciągnął ją do siebie, tym razem ze strasznym, nienasyconym pożądaniem.

Widział nad sobą jej twarz i patrzył bezprzytomnie w jej drapieżne, zmienione oczy. Poddawał się jej gwałtownym, wyuzdanym ruchom i słuchał chrapliwego szeptu.

Akne: – Możesz wszystko zmienić, wszystko ze mnie zrobić, co zechcesz. Tylko chciej tego i kochaj mnie bardzo. Mnie trzeba strasznie, bez pamięci kochać i trzymać z całej siły.

Ale on już był nieprzytomny. Więc ruchy jej z leniwą rezygnacją dogasały powoli. Patrzyła na niego z czułością i pogardą.

13. BUNGO U EDGARA

Bungo przekręcił wyłącznik lampy. Jaskrawe światło żarowe załało potwornie zabaganioną pracownię Edgara Nevermore'a. Sam książkę, który spał za stołem pełnym jakichś retort i puszek, budził się z trudnością. Bungo podszedł do okna, rozsunął zasłony. Promienie słońca zneutralizowały od razu światło lamp.

Edgar: – Wróciłeś w końcu, kochany Bungusiu...

Bungo: – Daj mi to, co wtedy.

Edgar: – Co? Nie pamiętam.

Bungo: – Johimbine.

Książkę był zaniedbany, nieogolony, dawno niestrzyżone włosy leżały niechłujnymi kosmykami na karku.

Edgar: – Leży tam. Wiesz gdzie.

Bungo rzucił się do szafki, zaczął szukać nerwowo. Wreszcie znalazł jeden proszek.

Edgar: – Masz dosyć, Bungusiu?

Bungo, który był już przy drzwiach, odwrócił się gwałtownie. Książkę Nevermore zaśmiał się nieprzyjemnie i jakoś dziko.

Edgar: – Ona jest typem prostytutki duchowej, kłamiwej histeryczki i z gruntu przewrotnej kobiety.

14. W WILLI AKNE

Bungo biegł przez ten dziwny, tajemniczy park, a właściwie ogród otaczający willę Akne. Wreszcie zobaczył w oddali ten szalony dom zaprojektowany przez zwariowanego architekta. Serce zabiło mu szybciej, bo na tarasie widać było samotną kobietę leżącą w hamaku.

Akne, ubrana w lekki szlafrok, który pozwalał na piekielne domysły, była zimna, nieodgadniona, tylko usta jej krzywił zły, jadowity uśmiešek.

Bungo przypadł do jej ręki leżącej bezwładnie na krawędzi hamaka.

Bungo: – Niech pani zrozumie, że ja jestem zupełnie nienormalny teraz. Byłem w rozpacz, że tak się zachowałem wczoraj. Czasem przychodzą na mnie takie chwile.

Wybuchnęła dziecinnym, dokuczliwym śmiechem.

Akne: – Dziwne chwile? Tak pan je nazywa?

Bungo poczerwieniał ze złości.

Bungo: – Chwile zupełnego obałwanienia. Niech pani nie robi z tego farsy, proszę panią. Kiedy przyszedłem do domu, myślałem, że się wścieknę bez pani. Nie spałem dziś wcale.

Akne: – A teraz co pan czuje?

Bungo: – Teraz?

W tym momencie na tarasie pojawił się dyrektor orkiestry. Stanął w drzwiach i patrzył z nienawiścią na Bunga.

Bungo (szeptem, pośpiesznie): – Koniecznie, proszę panią, musi pani być u mnie. Niech pani nie myśli, że nie rozumiem. Panią trzeba zdobyć, żeby pani mogła kochać. Niech pani wie, że dotąd ja byłem zdobywany.

Akne zeszła z hamaka. Spojrzała na niego poważnie.

Akne: – Dobrze. Jeżeli tylko będę miała czas, będę u pana przed wyjazdem.

Bungo: – Przed jakim wyjazdem?

Akne: – Wybieram się w góry dla odpoczynku.

Weszli do willi, gdzie służba pakowała bagaże pod kierunkiem dyrektora. Akne uśmiechała się do obu panów diabelsko i przewrotnie, chodząc swym lekkim, doprowadzającym do rozpacz krokiem między olbrzymimi kuframi.

Bungo czując, że traci panowanie nad sobą, schował się za fortepian i zaczął coś grać. Po chwili przyszła tam Akne. Bungo wstał i obejmując jej szatańskie, jędrne, ale giętkie i poddające się ciało, którego gorąco czuł dobrze przez cienki szlafrok, spytał zduszonym od żądzy głosem.

Bungo: – Przyjdziesz? Jeszcze jest czas. Musisz przyjść.

Akne (szeptem): – Uważaj, on tam jest, może usłyszeć.

Przyciskał ją do siebie z rozpaczliwą żądzą, całując jej gorące, rozlaźle usta. Broniła się lekko.

Akne: – Nie mogę, czasu nie będzie.

15. W DRODZE NA DWORZEC

Jechali otwartym kabrioletem, najnowszym modelem Austro-Daimlera z 1908 roku. Obok szofera siedział dyrektor z twarzą czerwoną i obrzmiałą. Co jakiś czas odwracał się i patrzył wytupionymi oczami na dekolt Akne, która siedziała z Bungiem z tyłu. Gapił się z beznadziejną, straszliwą żądzą.

Bungo, gniotąc ręce Akne w swoich silnych, lecz nienauczonych poskramiania demonicznych kobiet dłoniach, zaczął mówić zdławionym szeptem.

Bungo: – Dlaczego jesteś taka? Dlaczego mnie nie kochasz? Nie chcesz być ze mną, opuszczasz mnie dla kaprysu. Powiedz, że mnie nie kochasz, powiedz mi to wyraźnie. Odejdę od ciebie i nie zobaczę cię nigdy!

Patrzyła przed siebie, unikając jego wzroku.

Akne (*leniwie*): – Nie wiem, nic nie wiem.

Bungo: – Jak to nie wiesz? Musisz wiedzieć, że mnie kochasz albo nie.

Nagle oczy jej stały się skośne, niedostępne i złe, a przy tym lubieżne i kuszące. Popatrzyła mu prosto w twarz. Usta jej miały wyraz pogardy, a jednocześnie zdawały się wyzywać do jakichś potwornych pocałunków.

Akne (*demonicznym szeptem*): – Słuchaj, mnie nikt jeszcze nie miał naprawdę. Słyszysz? Nikt.

Zły, szyderczy uśmiech przewinął się po jej wargach.

Akne: – Ty nie będziesz mnie miał nigdy, bo jesteś na to za słaby.

16. ODJAZD AKNE

Na peronie ogromnego secesyjnego dworca stali naprzeciwko siebie. Lokomotywa parowa z ogromnym kominem posapywała ciężko, wypuszczając wielkie kłęby pary. W oknie wagonu stał dyrektor, patrząc na nich ponuro.

Bungo: – Musisz być moją!

Prawie krzyknął. Akne ze strachem spojrzała na okno wagonu.

Bungo: – Musisz! Zrozum, że ja jestem teraz chory, jestem nienormalny, muszę się zmienić. Ale muszę cię zdobyć dla siebie na nowo.

Patrzyła na niego ze zmarszczonymi brwiami, nie rozumiejąc jakby słów jego, a przy tym usta jej miały wyraz nieuchwytniej ironii.

Akne: – Nie wiem, nic teraz nie wiem. Muszę już iść, bo się spóźnię.

Schwycił ją gwałtownie za ramiona.

Bungo: – Pamiętaj o mnie, musisz to wiedzieć, że tak jak ja cię kocham, nikt cię już kochać nie będzie.

Akne: – Nie, pisać nie będę, nie mogę. Ty pisz, jak chcesz.

W tej chwili w drzwiach wagonu stanął ponury dyrektor, ruszając groźnie wąsami.

Dyrektor: – Cóż tam, jakieś zwierzenia?

Akne: – Rozmowa o rzeczach istotnych.

Powiedziała to wesóło i weszła lekko na stopień wagonu. Oboje z dyrektorem zniknęli w przedziale.

Bungo sam nie wiedział, co ze sobą zrobić. Liczył, że Akne pojawi się jeszcze w oknie. Zaczął chodzić nerwowo wzdłuż wagonu. Ale nikt nie stanął w oknie. Więc zdecydował się odejść. Szedł tyłem, ciągle patrząc na ten czekoladowej barwy pullmanowski wagon. Lecz gdy rozległy się gwizdki konduktorów, zatrzymał się, jakby przykuty jakąś siłą. A kiedy pociąg ruszył, Bungo rzucił się za nim w pogoń. Dopadł ostatniego wagonu, wskoczył na stopień.

Potem szedł korytarzami wagonów różnych klas, szukając Akne. Wreszcie spostrzegł ją za ozdobną szybą. Czytała zeszyt nutowy ze zmarszczonym czołem. Bungo stanął i zaczął przypatrywać się jej chciwie. W pewnym momencie, jakby odgadując obecność Bunga, wychylił się dyrektor z przedziału. Ich spojrzenia skrzyżowały się nienawistnie.

17. NA PRZEŁĘCZY

Wąskim żlebem szła lawina śnieżna. Biała chmura pyłu rosła nad skotłowaną, pędzącą błyskawicznie rzeką śnieżnych brył i lodu. Rósł tam posępny grzmot kataklizmu.

Bungo patrzył na ten groźny widok rozszalałego żywiołu z przełęczy tonącej w słońcu.

„Wszystko, co istnieje, zaprzecza tej zasadzie, według której istnieje” – mówił szeptem sam do siebie.

Odwrócił się ze zgrozą i wtedy zobaczył wysoko pod wierchem maleńki, czarny punkcik, który zbliżał się w jego stronę z zadziwiającą szybkością. Wkrótce ujrział sylwetkę dziwnego narciarza szusującego wprost na niego.

Kiedy się zatrzymał o centymetry od niego, Bungo zobaczył niewielkiego mężczyznę całego oblepionego śniegiem. Na głowie miał czarny, żałobny baszłyk, obsyty srebrnym galonem. Ubrany był w kozuch do góry włosem, włożony na czarny anielez. W ręku trzymał kij do kierowania nartami. Był to Childeryk, teoretyk sztuki i poeta, zwany Magiem.

Childeryk: – Pan tu sam?

Patrzył bystro swymi zimnymi, błękitnymi oczami chaldejskiego arcykapłana. Bungo zmieszał się.

Bungo: – Nie... To jest... sam... Właściwie tam na dole mieszka pani Akne...

Childeryk: – Pracuje pan? Nie wygląda pan na człowieka, który by pracował. Prędkiej na kogoś, kto jest – wybaczy pan brutalność – na drodze do pomieszczenia zmysłów. Co panu jest?

Pytał natarczywie, potrząsając Bungiem.

Bungo: – Nic. Był taki huk, że myślałem... Nic mi nie jest... Dzień dobry panu.

Childeryk: – Może mnie pan zabić lub znieważyć. Czynię to, co uważam za mój obowiązek: pytam pana, czy ta kobieta jest w ciąży?

Bungo uśmiechnął się mimo woli.

Bungo: – Nie, panie Childeryku, nie jest.

Childeryk: – Wierzę panu. Niech pan ucieka, póki czas. Niech pan potrafi być brutalnym, tu chodzi o całe życie, o pańską twórczość. Ja znam ten typ kobiet. To są straszliwe bagna, w których tonie się, nie wiedząc kiedy. Niech się pan nie boi, ona nie zginie. Ona stu takich jak pan zjadłaby na śniadanie. Ona jest silniejsza niż my wszyscy przez swoją niszczącą siłę.

Bungo: – Czy przysłała pana Edgar Nevermore, mój dawny przyjaciel?

Childeryk: – Niech pan ucieka, póki czas. Niech pan przypnie narty i jedzie ze mną.

Bungo: – Panie, daję panu słowo, że nie wrócę do niej. Ale nie widzieć jej nie mogę. Ona była dla mnie tak dobrą. Ja nie mogę.

Childeryk: – Jak pan chce. Ja panu wierzę.

Przez chwilę stali, patrząc na siebie w milczeniu. Bungo wytrzymał to spojrzenie.

Po chwili jechali już na nartach z szaloną szybkością wśród sypiących się płatków śniegu. W którymś momencie Bungo zahamował na skraju przepaści. Childeryk nie zauważył jego manewru, trawersował spokojnie po gigantycznym zboczu.

Przepaść wypełniona była białymi gruzłowatymi obłokami. Pod ich nieprzejrzystym całunem słychać było odgłosy intensywnego życia wielkiego kurortu.

18. ALEJA W KURORCIE

Bungo szedł sam modrzewiową aleją, niosąc narty na plecach. Mijał go jakiś powóz. Zatrzymał się z bijącym sercem. Jechała w nim pani Akne w towarzystwie kilku głośno rozmawiających młodych ludzi. Robili wrażenie podpiętych, widocznie wracali z jakiegoś rautu. Wyróżniał się wśród nich Stanisław Ignacy Żdyb, olbrzym o niestłuchanych barach i grubej, długiej, spalonej szyi o wystającej grdyce. Ujął właśnie rękę pani Akne i powtarzał przeciągłym głosem.

Żdyb: – Ta ja dla pani Akni wszystko. Taż Akniu, ja panią kocham.

Bungo i Akne spotkali się na moment wzrokiem.

19. ODWIEDZINY W PENSJONACIE

Bungo szedł przez na wpół opustoszały dom zdrojowy. Pod palmami siedziały jeszcze najcierpliwsze pary zakochanych, udając, że piją wody mineralne. Rozglądał się dokoła, ale nikogo ze znajomych tu nie było. Wyszedł do ogrodu i od razu zobaczył, że okna jej apartamentu w pensjonacie przypominającym zamek zakonu Maltańskiego, że te okna są oświetlone. Słychać było stamtąd chrapliwą muzykę gramofonu.

Rzucił się do wejścia, wpadł do przedpokoju. Na wieszaku spostrzegł jakieś palto i kapelusz. Wściekły wszedł do pokoju.

Pani Akne leżała na kanapie ubrana w lekki szlafrok, wpatrując się w siedzącego naprzeciw niej na brzegu krzesła kapelmistrza. Wszędzie stały na nowo spakowane kufry. Bungo stał, milcząc, przy drzwiach.

Akne: – Niech pan siada.

Rzekła to obojętnie, zatrzymała gramofon i podała mu rękę, nie odrywając wzroku od twarzy nieszczęsnego dyrektora, który uściśnął spoconą łapą dłoń Bunga, nie przestając również patrzeć w jej oczy.

Skośne oczy pani Akne patrzyły zimno i uważnie, podczas gdy usta, uśmiechnięte lubieżnie, oblizywała końcem języka.

Kapelmistrz był siny, a pot gęstymi kroplami spływał mu z czoła i nosa. Nagle drgnął całym ciałem i zbladł straszliwie, a wzrok zmętniał mu zupełnie. Pani Akne uśmiechnęła się z bestialskim zadowoleniem i odwracając się do Bunga, rzekła spokojnie.

Akne: – Wyjeżdżam, jak pan widzi. Uciekam znowu przed panami. Może zostanie pan na kolacji, i pan, panie dyrektorze?

Ale ten wstał, mruknął „dziękuję” i wyszedł, nie podając ręki nikomu.

Bungo rzucił się nagle na Akne i wgrzył się w jej usta w obłąkanym pocałunku, podczas gdy rękami odsuwał gwałtownie szlafrok osłaniający jej ciało.

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi, Akne odepchnęła nieprzytomnego Bunga z całej siły.

To był znowu ponury jak jesienna noc dyrektor. Zaczął chodzić po pokoju, chrząkając głośno i spoglądając z nienawiścią na Bunga.

Akne: – Czemu pan tak chodzi, może pan czego potrzebuje?

Bungo spojrzał na Akne. Uśmiechała się do niego chytrze i wesoło. Uczuł niesmak jakiś, wstał i chciał się z nią pożegnać. Spojrzała na niego przerażonym, błagalnym wzrokiem.

Akne (szepem): – Nie odchodź. On może rzucić się na mnie, może mnie zabić.

Bungo (szepem): – Dobrze. Ale po co go trzymać przy sobie. Lepiej zerwać zupełnie. Niech się nie męczy.

Akne: – On jest przyjacielem naszym od dawna i koniecznie potrzebnym w operze. Nie mogę zrobić takiego skandalu.

Bungo wstał, chwilę się zastanawiał, co zrobić. Kapelmistrz z napiętą uwagą obserwował jego ruchy. Bungo wyszedł do ogrodu.

Stanął pod drzewem i patrzył na dom zdrojowy, w którym wygaszano światło. Po chwili usłyszał za sobą ciche kroki. Nadbiegła Akne okryta peleryną, którą włożyła na szlafrok.

Prowadził ją w głąb ogrodu aleją bukową, przyciskając ją do siebie z całej mocy. Nie mówili nic, a kiedy doszli do muru otaczającego cały ogród, Bungo nie wytrzymał i powalił Akne na ziemię, po czym, gniotąc jej miękkie, bezwładnie poddające się ciało i wysysając jej usta w potwornych pocałunkach, stracił definitywnie przytomność. Przez chwilę nie rozumiał zupełnie, co się właściwie stało. Słyszał tylko bicie własnego serca, szum w uszach, a w oczach tańczyły mu ciemnoczerwone plamy. Nagle straszliwa fioletowa błyskawica rozdarła ciemności i zrobiło się jasno jak w dzień. Bungo ujrzał tuż przy swojej twarzy przerażone oczy i rozwarte usta pani Akne. „Kocham ją jednak do obłędu” – pomyślał. Zaczął znowu całować usta pani Akne, gdy nagle okropny grzmot zwałił się z chmur na ziemię. Pani Akne zerwała się z ziemi i zaczęła biec w ciemności w kierunku kurhauzu. Bungo próbował ją zatrzymać, ale na próżno.

Akne (nieprzytomnie): – Boję się, puść mnie, boję się.

Bungo: – Zostań, muszę z tobą pomówić, kocham cię.

Bełkotał, nie zważając na jeszcze jaśniejszą błyskawicę, która oświetliła wnętrze alei. A potem zdało się, że góry wał się w dolinę i że echo grzmotu odzywa się aż gdzieś w najgłębszych ludzkich bebechach. Bungo ledwo dowlóknął nieprzytomną Akne do opustoszałego domu zdrojowego. Skryli się na kanapce pod wielką palmą. Bungo gładził Akne po włosach, szepcząc coś niezrozumiale, a ona coraz bardziej zapadała w zupełny bezwład i senność.

Bungo: – Słuchaj, muszę ci coś powiedzieć. Ja nie zniosę dłużej takiego życia...

Akne: – Nie teraz, teraz idź. Jestem taka zmęczona, że nic nie mogłabym zrozumieć.

Bungo: – Rozbierz się, zostaniemy tu na noc. Nie mogę odejść od ciebie, pomyśl, ile czasu byłem bez ciebie.

Mówił to, rozpinając jej szlafrok. Akne ocknęła się nagle.

Akne: – Nie, nie, nie tutaj. Tu możemy być narażeni na straszne przykrości. Może ktoś wejść, a gdyby nas tu zastali, pomyśl, co by było! On może nagle przyjść! Bądź dobry, idź już. Ja sama wrócę.

Bungo (*twardo*): – Dobrze. Ale jutro razem wyjeżdżamy. Nie myśl, że tylko o to mi chodzi. Albo będę dla ciebie wszystkim, albo nie będę mógł żyć z tobą.

Przeciągnęła się rozkosznie na kanapie.

Akne: – Jesteś wszystkim, nie będziesz, ale jesteś. Nie gniewaj się na mnie. Jestem biedna, mała dziewczynka. Kochaj mnie bardzo. Chcę być z tobą w łóżku, w łóżku...

Powtarzała to lubieżnym szeptem.

Akne: – Idź już, bo naprawdę coś złego się stanie. Ja sama wrócę. Mam blisko.

Bungo ucałował jej rękę, ruszył do wyjścia.

Akne: – Nie kochasz mnie, nie pocałowałeś mnie!

Odwrócił się. Stała za palmą i czekała. Kiedy podbiegł, wyprężyła się i nie otwierając oczu, dała mu swoje usta, rozpalone i wilgotne.

20. TRZECI SEN

Skradał się po gzymsach do czerwono oświetlonego okna jakiejś nadmorskiej willi. Słyszał pod sobą szum fal uderzających o skały i piął się coraz wyżej, zmuszany do tego jakąś niezrozumiałą siłą. A kiedy zająrzył do okna, zobaczył olbrzymie łóżko, a w nim śpiącego obok pani Akne tego olbrzyma z wystającą grdyką, Stanisława Ignacego Zdyba w czerwonym turbanie. Tylko głowy ich widział spod czerwonej kołdry, oświetlone lampą z czerwonym abażurem. Pani Akne patrzyła w okno i nagle, ujrzawszy Bunga, krzyknęła przeraźliwie, Zdyb całkiem nagi wyskoczył momentalnie z łóżka, a Bungo, straciwszy równowagę, spadł przepaścią w morze i zbudził się z lękiem.

W przedziale pośpiesznego pociągu było pusto. Żadne z miejsc nie było zajęte. Siwy konduktor salutował w otwartych drzwiach.

Konduktor: – Dzień dobry. Piękny mamy ranek. Poproszę szanownego pana o bilet do kontroli.

21. NA PLAŻY

Bungo szedł plażą. Miał na sobie pasiasty strój kąpielowy z ramiączkami. Zwiniełą gazetą oganiał się przed jakimś naprzykrzonym bąkiem. Dookoła siedziały na krzeselkach i w wiklinowych koszach całe rodziny. Panowie w słomkowych kapeluszach, panie osłonięte parasolami. Rozglądał się z bijącym sercem, szukając Akne.

Wreszcie dostrzegł ją przy drewnianym pomoście wychodzącym w głąb spokojnego morza. Siedziała roztargniona, niespokojna pod wielkim kolorowym parasolem. Nawet nie spostrzegła jego ukłonu.

Bungo stanął umyślnie przed nią, żeby nie mogła uciec wzrokiem.

Bungo: – Chciałbym, żebyś zrozumiała, że ja zupełnie nie chcę ciebie odgradzać od ludzi i czynić z ciebie mojej wyłącznej własności. Chodzi mi tylko o to, że życie wypełnione ciągłą zabawą z ludźmi, dla których czuje się pogardę, jest zupełnie demoralizujące. Ty już zupełnie nie zdajesz sobie sprawy z wartości ludzi, którzy cię otaczają. Jesteś zblazowana przeżywaniem ciągle silniejszych wzruszeń na scenie niż w codziennym życiu. Twoja znajomość życia ogranicza się tylko do rzeczy marnych. Panujesz nad ludźmi przez to, że ich poniżasz.

W tej chwili duży bąk ukąsił go boleśnie w policzek. Pani Akne zdziwiona przerwą w jego przemowie spojrzała mu w oczy. Twarz jej miała skomplikowany wyraz znudzenia, oczekiwania, udanej uwagi. Koło ust zjawiał się charakterystyczny, cyniczny, starczy prawie uśmiešek.

Bungo: – Czy ty mnie w ogóle rozumiesz?

Czuł, że lewy policzek puchnie mu z szaloną szybkością.

Akne: – Ależ rozumiem, zupełnie to pojmuję.

Bungo: – Mam wrażenie, że to, co mówię, nie obchodzi cię wcale.

Akne: – Co ty gadasz? Słucham tego wszystkiego z wielkim zajęciem.

Bungo, widząc, że Akne słucha go z coraz wzrastającym roztargnieniem, przestał mówić i patrzył na rozmigotane blaskiem słonecznym morze i na zagłównki przemykające cicho wzdłuż brzegu.

Akne (szepem): – Zimno mi, chodźmy już.

Szli z wolna w stronę domków kąpielowych. Jakaś umundurowana orkiestra pod płóciennym namiotem grała *Foschingschwang* Schumanna. Bungo wziął ją delikatnie pod ramię i przycisnął do siebie. Odsunęła się od niego niechętnie.

Akne: – Mogą nas widzieć.

Kiedy usiedli w fotelikach w domku kąpielowym, pani Akne otworzyła skrzynkę z przyborami toaletowymi i zaczęła poprawiać makijaż. Wtedy dały się słyszeć jakieś ciężkie kroki na schodkach i ktoś mocno i gwałtownie zapukał do drzwi wchodowych. Pani Akne drgnęła i uniosła się lekko z fotela. Powiedziała zmienionym, drżącym głosem.

Akne: – Proszę.

Drzwi się otworzyły i wszedł nieznany Bungowi młody, barczysty i bardzo wysoki pan. Na spalonej szyi osadzona była niewielka stosunkowo, lecz kształtna głowa. Miał ciemne włosy i duże brwi, spod których patrzyły zdobyczne, piękne oczy.

„Ach to ten pan, który mówił do niej w powozie” – pomyślał Bungo.

Zdyb: – Dzień dobry, pani Akniu.

Akne: – Dobrze, że pan przyszedł, panie Stasiu. Właśnie mówiłam panu Bungowi, że jestem dziś do niczego i wyrzucałam go od siebie. Pan Zdyb, pan Bungo.

Zdyb podał mu swoją olbrzymią rękę i rzekł jakby z lekką ironią.

Zdyb: – Miałem przyjemność znać pana ze słyszenia.

Bungo (zimno): – Nie wiem, skąd mógł pan słyszeć o mnie, bo jestem osobistością zupełnie nieznaną. Ja za to bardzo wiele słyszałem o pana bohaterskich wyczynach na obu półkulach.

Zdyb zmarszczył brwi i spojrzał na panią Akne, która wita się wprost na fotelu, patrząc na Stanisława Ignacego Zdybą wzrokiem pełnym uwielbienia, uległości i jednocześnie spotęgowanego demonizmu pierwszej klasy.

Akne: – Panie Bungo, wie pan, jest już po szóstej, sklepy są zamknięte, a pan zapomniał kupić wody kolońskiej. Nigdy już pana po nic nie posłę.

Bungo: – Niech pani posyła lokaja.

Akne (z ironią): – Proszę, cóż to za megalomania.

Zdyb: – Pani Akniu, właśnie mam dla pani transport różnych rzeczy. Znajdzie się i woda, i wiele innych ciekawych płynów.

Akne: – Pan nie ma woli, panie Bungo, pan jest niedołęga życiowy i melancholik.

Zaczęła się śmiać dokuczliwym, dźwięcznym śmiechem małej, przewrotnej dziewczynki.

Zdyb: – Jak się pani ślicznie śmieje, pani Akniu. Ta to radość człowieka ogarnia, jak słyszy śmiech pani.

„A bydlę, a kanalia głupia” – myślał Bungo. – „No teraz skończone. Jutro zrywam z nią definitywnie. A podła kokota, oficerskaja blad”.

Pani Akne rzekła do Bunga tonem ciotki dbającej o swego ukochanego siostrzeńca.

Akne: – Pan jest zmęczony, panie Bungo, a do tego musi pan zrobić kompres na twarz, i to jak najprędzej. A my tu mamy obgadać z panem Stasiem jedną kwestię co do moich występów w Brazylii. Albo wie pan co, panie Stasiu, pojedziemy na spacer i porozmawiamy w powozie. Panie Bungo, może pan pójdzie do pani Buffadero i poprosi ją o konie.

Tego było za dużo. Bungo zzieleniał ze złości, wstał, burknął „do widzenia” i wyszedł na plażę. Szedł wśród plażowiczów, którzy zwiłali już swoje manatki. Słońce wisiało nisko nad morzem. „No, teraz koniec” – mruczał sam do siebie Bungo. – „Teraz wydało się. Naturalnie, że ten drab jest lepszy. A psiakrew! Dałem się nabrać. Zachciało się babie chłopczyka z idealną miłością, ale ponieważ ten ma tęższe tyłki, więc jestem niepotrzebny. A podła kabotynka. Więcej nie będziesz miała zabawy. A przeklęta baba, kanalia vergognosa!”.

22. CZWARTY SEN BUNGA

Śniło mu się, że biegnie długim, wąskim korytarzem, goniąc uciekającą przed nim zupełnie nagą panią Akne. Podłoga wysmarowana czymś śliskim uniemożliwiała mu prędką pogoń. Na końcu korytarza były drzwi otwarte, a w nich stał ubrany w sportowy kostium Stanisław Ignacy Zdyb, narysowany jakby przez jakiegoś strasznego japońskiego pornografa. Pani Akne oglądała się na Bunga, śmiejąc się bezwstydnie z jego bezskutecznych wysiłków, aby biec szybciej. W końcu, kiedy już ją miał dopaść, wpadła w objęcia Zdybą, a ciężkie metalowe drzwi zatrzasnęły się, wydając huk złowrogi.

Bungo upadł i zbudził się z poczuciem potwornej, bezsilnej złości. „A czekaj teraz” – powiedział nieprzytomnie. – „Nic z tego nie będzie, małego przekłeta”.

23. W KULISACH OPERY

Na scenie opery odbywała się próba *Tristana i Izoldy*. Pani Akne śpiewała partię Izoldy. Była w kostiumie, twarz jej pokrywała przejaśniona charakterystyczna. Bungo słuchał w kulisach jej wibrującego głosu, który górował nad orkiestrą prowadzoną przez zdenerwowanego dyrektora.

Pani Akne raptem sfalszowała, rozjechała się z orkiestrą i tupnąwszy nogą ze złością, wybiegła za kulisy. Ujrawszy tu Bungo, zatrzymała się skonsternowana. Bungo wyjął plik listów i położył go na jakimś przygodnym stoliku.

Bungo: – Proszę pani, po wczorajszym postępowaniu pani nie pozostaje mi nic innego, jak odejść od pani.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem, a potem z czymś w rodzaju lekkiego podziwu.

Akne: – Pan nie wie, co pan mówi, kocham pana, jest pan wszystkim dla mnie. Żartowałam, bo byłam bardzo smutna i chciałam się rozweselić, a pan to bierze na serio.

Bungo: – Nie, pani chciała mnie poniżyć przy człowieku obcym mi. Żegnam panią.

Uklonił się i chciał wyjść. Akne rzuciła się na niego i objęła go za szyję.

Akne: – Nie wyjdiesz teraz, nie odejdiesz ode mnie. Jestem biedna, słaba i nieśczęśliwa między tymi wszystkimi drabami i ty jeden, którego kocham, a kocham po raz pierwszy naprawdę, chcesz mnie opuścić. Co ze mną będzie? Słyszysz? Chcesz mnie zgubić zupełnie. Jeśli mnie opuścisz, to naprawdę czy ten, czy inny, wszystko mi będzie jedno.

Widział twarz jej z nadstawionymi do pocałunków ustami i jej oczy zatławione, pełne wyrazu błagania i najwyższej, rozpaczliwej miłości.

Bungo: – A Zdyb?

Akne: – To jest nic. On jest przyjacielem mego męża i nie mogę mu nic złego zrobić, bo byłby z tego skandal. Po tym, co było, nie możesz, nie powinienesz mnie opuszczać.

Bungo (niepewnie): – Chciałbym wierzyć.

Akne: – Musisz, musisz mi wierzyć. Kocham, kocham...

Mówiła to szeptem, ogarnięta nagłą szczerą i niewymuszoną żądzą.

Akne: – Ty wariacie, ty, ty, ty...

Zaczęła całować go w usta, oczy, nos, brodę, szyję i Bungo, czując słony smak też jej w ustach swoich, ostatecznie poddał się wszystkiemu. Całował ją bez pamięci z coraz większą furją.

W tej chwili szcześnie metalowe drzwi i wszedł do tej kulisy piękny, wygolony, woniejący cudownymi perfumami Pogrobowski. „To jeszcze jeden z tego powozu” – pomyślał Bungo.

Pogrobowski musiał coś zauważyć, bo był z lekka zmieszany. Ucałował dłoń Akne, podał jej ogromny bukiet kwiatów.

Pogrobowski: – Wie pani, mam takie przykre chwile. Spać nie mogę, czytać nie mogę. Ech, niech diabli wezmą takie życie.

Akne: – A ja przeciwnie. Wtedy życie chciałabym przerwać, kiedy chwila jakaś jest zbyt piękna.

Tu spojrzała z taką miłością na Bungo, że ten już we wszystko uwierzył.

Pogrobowski: – A pani często wywołuje takie chwile?

Wargi skrzywiły mu się bolesnym cynizmem i zaczął się nagle śmiać nerwowym, podobnym do ryku ośta, niepowstrzymanym śmiechem. Śmiech zamarł mu nagle.

Pogrobowski: – Czasem się tak człowiek śmieje...

Ucałował rękę Akne, nałożył melonik i bez słowa wyszedł, ginąc gdzieś wśród starych dekoracji.

Bungo: – Co za cudowny człowiek. On także kochał panią.

Akne: – Nie mów mi „pani”. Kocham cię, nic nie chcę wiedzieć, o niczym myśleć, kocham, kocham.

Zaczęli się całować straszliwie, do zupełnej utraty przytomności. Wtedy odezwał się gwałtowny trzask batuty o pulpit.

Dyrektor: – Pani Akne, na scenę! Wszyscy czekają. Oderwała się od Bunga i leciutko wbiegła na proscenium, posyłając mu jeszcze jednego całusa.

Zagrała orkiestra, Akne zaczęła śpiewać od nowa przerwany arię.

24. ROZMOWA PRZY ŚWIECACH

Akne siedziała na kanapie wpatrzona w jeden punkt swymi dziwnymi, błędnymi oczami. Była już noc. Palila się tylko niespokojnie mrugająca świeca.

Akne miała usta zaciśnięte i złe i nawet wcale nie była piękna w tej chwili. W swojej czarnej sukni robiła wrażenie jakiegoś dziwnego i drapieżnego ptaka.

Bungo: – Chodź do mnie. Chodź do mojej pracowni.

Akne: – Po co?

Bungo: – Jak to po co? Wiesz dobrze po co. Proszę cię, chodź zaraz.

Akne: – Nie, nie, nie, nie mogę, nie pójdę.

Bungo: – Dlaczego? Raz przestań kłamać i powiedz, że mnie nie kochasz.

Akne: – Nie, nie. Kocham cię, kocham, ale nie wiem nic, nie rozumiem ciebie; nie mogę iść do ciebie, nie pójdę.

Bungo (poważnie): – Słuchaj mnie, pan Zdyb jest dla ciebie szczytem siły życiowej i naprawdę mnie się zdaje, że powinnaś mnie dla niego opuścić. Nie kłamać ani przede mną, ani przed sobą samą.

Zachnęła się z udanym oburzeniem.

Akne: – On jest absolutnie niczym dla mnie. Ja w tobie czuję tę siłę, tylko ty jesteś dziecko jeszcze.

Bungo: – Ja zupełnie innym człowiekiem nie będę. Namyśl się, czy naprawdę mnie takim, jakim jestem, potrzebujesz.

Akne: – Tak, kocham cię. Tylko chcę, żebyś mnie trzymał strasznie mocno. Inaczej odejdę. Stracę się. Ciebie kocham i chcę tego od ciebie.

Objął ją i zaczął całować jej gorące, lubieżnie rozłożące się pod jego pocałunkami wargi. Ale wkrótce wyrwała mu się.

Akne: – Nie dziś. Dziś jestem święta, mała dziewczynka. Kochaj mnie bardzo, ale z daleka, bądź dobry dla mnie. Moje ciało potrzebuje czasem gwałtu, bicia,

jakichś brutalnych pieszczot, ale czasem chcę być zupełnie czysta, mój potwór, moje zwierzę zamyka się i chcę, żebyś mnie tylko kochał, strasznie kochał.

Mówiła to głosem rozpieszzonego dziecka. Zaczął ją pieścić przez ubrania, a ona podrzucała się od czasu do czasu jakimś wyuzdanym, prowokującym ruchem, półleżąc na kanapie. „Chce sprowokować do czynu istotnie gwałtownego” – myślał Bungo. – „Nie opieraj się, daj mi to, co mi się należy jako pierwszemu faworytowi”.

Nie chciała nic ustąpić Bungowi z świętego nastroju swojej duszy.

Bungo: – Daj mi się całować wszędzie. Ja chcę zapachu twego ciała.

Akne: – Nie, nie. Dziś dać nie mogę. Jestem święta, zupełnie święta.

Dopiero teraz widział, że usta ma spękane, zniszczone, że pod oczami są ciemne plamy, że wygląda jak po szalonej rozpuście.

Bungo: – Ja wytrzymać nie mogę, musisz coś ze mną zrobić. Inaczej się wścieknę.

Akne: – Chcesz?

Spytała, podnosząc zdecydowanym ruchem suknię. Odpowiedział zniechęconym rozpaczliwie głosem.

Bungo: – Nie, tak nie mogę.

Zaczęła się śmiać i Bungo na nowo uczuł powracającą mu normalną męską siłę.

Bungo (z pośpiechem): – Daj siebie, daj w tej chwili.

Zaśmiała się przekornie i znowu upadła na kanapę, zawijając się szczelnie w czarną, błyszczącą suknię.

Akne: – A nie. Teraz już nie.

Wstał ze złością.

Bungo: – Widzę, że chcesz mi dokuczyć i że wcale mnie nie kochasz.

Akne: – Co tobie się zdaje? Z kim ty żyjesz, że myślisz ciągle, że ci chcę na złość zrobić.

Bungo: – Właśnie że żyłem z takimi, które same na mnie lały. Nie znałem, co to jest pożądać naprawdę.

Ucałował ją szybko w usta i wyszedł ogarnięty nagłą obojętnością.

Szedł wśród nocy i patrzył bezmyślnie na dziwne plamy światła i tajemnicze głębie parku. Olbrzymie sosny ledwo znać było na trochę jaśniejszym niebie. Bungowi zdawało się, że widzi jakiś cień posuwający się za nim z boku. Nagle zatrzymał się i zapytał tak strasznym głosem, że go prawie nie poznał: „Kto tu?”. W tej samej chwili ujrzał pod sobą przepaść skalistego brzegu morskiego i fosforyczne białe fale podbiegające z łoskotem do olbrzymich złomów kamiennych.

25. BUNGO W PRACOWNI

Bungo stał przed niedokończonym portretem Akne umieszczonym na wielkich sztalugach. Trzymał w ręku szpachlę do farb. Patrzył na tę tak dobrze znaną twarz i mówił sam do siebie: „Jak to, ja miałbym dla takiego padła cierpieć? Nie chcę być członkiem tego psiego wesela, które urządzasz, i dlatego ostatni raz całuję twoje więdnące ciało i twoje wycelowane przez wszystkich drabów usta i do widzenia”.

Po czym ostrą szpachlą rozciął na krzyż malowany od tyłu dni portret kochanki.

Chwilę stał, zbierając myśli, a potem nagle skoczył do drzwi, a potem zesakał po trzy stopnie naraz po schodach.

26. ZNOWU W WILLI AKNE

Bungo rozsunał żywo płot. W basenie pełnym jakichś dziwnych kwiatów pływała naga Akne. Właściwie leżała na wodzie, utrzymując się na powierzchni drobnymi ruchami rąk. Powoli obracała się twarzą w stronę, gdzie stał Bungo. Było zupełnie cicho. Długie cienie drzew dotykały już krawędzi basenu zbudowanego przez jakiegoś wariata w kształcie ogromnej, różowej muszli.

W tym momencie Akne spostrzegła Bunga. Zaczęła z rozpaczliwą szybkością płynąć do drabinki.

Akne: – Zaczekaj! Nie podchodź! Błagam cię, ktoś może przyjść!

Wylazła na brzeg, narzuciła szlafrok na mokre ciało. Wyglądała tak, jakby nie jeden, ale co najmniej dziesięć ciężarowych pociągów po niej przejechało. Oczy miała opuchnięte od przeżytych rozkoszy, a usta rozcałowane na jakąś krwawą miazgę. Drżała z zimna.

Bungo: – Mam wrażenie, że jestem niczym, jeżeli możesz mnie tak urządzić.

Akne: – Ależ kocham, kocham, a może zgadniesz, co robiłam wczoraj wieczorem. Mówiła głosem starej kokoty, ledwo idąc od bólu w udach.

Akne: – Nie spałam do trzeciej i myślałam tylko o tobie. Umierałam z miłości do ciebie. Słyszysz czy nie?

Weszli na taras.

Bungo: – Teraz w nic nie wierzę, co mówisz. Chciałbym cię naprawdę bić, bić do krwi, kopać, nie wiem, co bym zrobił.

Akne: – Owszem, zbij mnie, mnie nikt nie bił jeszcze.

Przesuwała w potwornie drażniący sposób swą drapieżną rączkę po najbardziej istotnej części ciała Bunga. Tak weszli do pokoju. Tu spróbował powalić ją na kanapę. Ale ona szepnęła z chytrym uśmiechem.

Akne: – Usiądź lepiej na fotelu.

Bungo zgodził się i widział nad sobą twarz jej zmienioną od rozkoszy. Nie mógł wprost wytrzymać potwornych drgawek jej ciała. „Ale to wszystko dla niej za mało” – pomyślał z rozpaczą.

Nagle w korytarzu dały się słyszeć kroki i potem mocne pukanie do drzwi.

Akne (szepem): – Niezamknięte.

Jak pantera rzuciła się do drzwi, nie poprawiając szlafroka, który miała zarzucony na plecy. Zapytała sztucznie spokojnym głosem.

Akne: – Kto tam?

Dał się słyszeć sympatyczny głos niezwykłego zdobywcy życia.

Zdyb: – Ta to ja, Zdyb.

Drzwi pchnięte z zewnątrz zaczęły się już otwierać. Pani Akne przycisnęła je z całej siły i przekręciła klucz.

Akne: – Nie mogę pana przyjąć, jestem nieubrana.

Zdyb: – Ta co, pani Akniu. Cóż to szkodzi. Mnie może pani przyjąć zawsze.

Pani Akne dotąd nie miała przytomności spuścić szlafroka i wyglądała mimo grozy sytuacji wściekle komicznie. W tej chwili ta właśnie część ciała robiła niesłychane wprost wrażenie. Zdawała się uśmiechać bezmyślnie swymi obiema niezrównanej białości półkulami i z bezczelnym uporem kpić ze wszystkich niebezpieczeństw. „Aha, więc to tak” – myślał Bungo. – „Róbcie, co chcecie, mnie wszystko jedno”.

Akne: – Niech pan nie mówi głupstw. Niech pan przyjdzie za godzinę.

Zdyb (niechętnie): – Ta dobrze. Ale nic nie rozumiem.

Odszedł z ociąganiem. Akne wróciła do Bunga. Stała przed nim i patrzyła mu w oczy demonicznym, okrutnym wzrokiem, jednak nie bez pewnego zachwytu. Widocznie po nasytении istotnych jej pragnień perwersje z tym chłopczykiem miały też dla niej pewien urok.

Bungo: – Muszę ładnie wyglądać teraz.

Dyszał ciężko i był blady jak trup.

Akne: – Jesteś piękny, kocham cię! Ty pierwszy budzisz we mnie to potworne zwierzę, którego w sobie nie znałam. Jeszcze nikt mnie nie całował jak ty. Ty, ty, ty.

Mówiła to, całując swymi poranionymi ustami jego przymknięte, wymęczone oczy.

27. SPOTKANIE Z BRUMMELEM

Baron Brummel siedział w ogródku kawiarni wysuniętym na chodnik. Przed nim stała na stoliku szklanka mazagranu. Zaczął gwałtownie przyzywać przechodzącego śpiesznie Bunga.

Brummel: – Mój drogi Bungo, mówiła mi Inez, że ciągle siedzisz u pani Akne i że o tobie mówią, że się kochasz. Muszą zachodzić zapewne ważne wypadki i przeżycia erotyczne klasy pierwszej.

Bungo zatrzymał się, ale nie siadł do stolika. Baron strzelił palcami na kelnera.

Bungo (zimno): – Mylisz się, mój Brummelku. Nic nie ma między mną a panią Akne. Chodzę tam, bo ją lubię i daje mi to wiele artystycznej satysfakcji.

Baron położył monetę na talerzyku z rachunkiem. Śmiejąc się, wziął Bunga pod rękę i wyszli na ulicę.

Brummel: – Oho, jakaś niezwykła dyskrekcja. Ja osobiście nie lubię pani Akne. To jest ten typ kobiet, do których trzeba się zbliżyć z rajtpejczą. A przy tym inteligencja dość słaba, o ile słyszałem. Całymi dniami siedział u niej ten kretyń Pogrobowski, a teraz ty zajmujesz jego miejsce.

Bungo (wyniosłe): – Ja nie zajmuję nikzyjego miejsca.

Baron spojrzał z ukosa. Właśnie zatrzymał się, żeby kupić u dziewczyny bukietik fiołków.

Brummel: – Dobrze, mówmy o czymś innym. Nie słyszałeś, co porabia książę Nevermore?

Bungo: – Nic nie słyszałem.

Brummel: – Zerwała się wasza przyjaźń. No tak, właśnie tak.

Skinął na dorożkę.

Brummel: – Z nim podobno bardzo niedobrze.

Bungo: – Co niedobrze?

Brummel wskoczył do dorożki.

Brummel: – Tak w ogóle. Wybacz, ale się śpieszę.

„Są rzeczy takie, których zmienić nie można” – pomyślał Bungo, patrząc za odjeżdżającą dorożką.

28. W PRACOWNI

Bungo malował kompozycję przedstawiającą jakąś demoniczną scenę erotyczną. Na ścianach wisały obrazy pełne jakichś figur, które przypominały barona i księcia, gruzińską księżnę Keskeszydze i Inez, a także różnych znajomych. Właśnie oddalił się parę kroków, żeby lepiej ocenić robotę, gdy usłyszał lekkie pukanie i zdębiał ze zdziwienia, ujrawszy wchodzącą panią Akne. Była wprost potworna. Jej opuchłe, niewyspane oczy, obwiedzione sinymi obwódkami były szczytem świńskiego rozbustwienia. Twarz jej, prawie zieloną, pokrywał w niektórych miejscach niedobrze otarty puder, a usta jej poranione były i spękane w kilku miejscach. Podrapana jakby pilnikiem broda posypana była grubą warstwą pudru. Wyglądała na trzeciorzędną kokotę po całonocnej ciężkiej pracy.

„Ten Staś Zdyb to musi być numer” – pomyślał Bungo, całując panią Akne w rękę.

Akne: – Przyszłam teraz, bo mój mąż wraca wreszcie z zagranicy. Nie chciałam cię zostawiać samego na czas tak długi.

Mówiła to głosem wstrętnym, rozlazłym.

Bungo (z *trudem*): – Wiesz, ja myślę, że ja niczym się nie różnię od tamtych i że się mną bawisz w zupełnie potworny sposób.

Akne: – Wiesz dobrze, że jesteś na prawach wyjątkowych.

Uśmiechnęła się przy tym cynicznie.

Bungo (z *gniewem*): – Wstrętnie mówisz, zupełnie ohydnie.

Akne: – E, kiedy mi dokuczasz.

Odpowiedziała tak kokocim tonem, że Bungo wzdygnął się ze wstrętem. Zbliżył się do niej i patrząc w jej zaświnione oczy, rzekł z litością.

Bungo: – Kocham cię.

Pocałował ją w czoło. Akne uśmiechnęła się z wdzięcznością, ale jednocześnie przesunęła rączką po dolnej części jego ubrania. Szepnęła swymi biednymi, poranionymi ustami.

Akne: – Dobrze, że mnie kochasz jak siostrę. Jestem taka zmęczona.

Bunga ogarnęło gwałtowne jak piorun pożądanie. Porwał ją i zaniósł na łóżko.

Błagała go omdlewającym, pełnym bólu głosem.

Akne: – Miej litość, bądź dobry.

Nie zważał na nic i wkrótce stracił przytomność w zabójczym, ohydny zatraceniu siebie. A potem zaczął całować ją w najbardziej demoniczne miejsca jej ciała, wijąc się pod wpływem szatańskiego zapachu jej ciała.

I nagle oprzytomniał. „Jak to, ja tam, gdzie on” – pomyślał. Spojrzał jej w oczy tak morderczym wzrokiem, że Akne krzyknęła z przerażenia.

Akne (szeptem): – Nie zabijaj mnie.

Wstał, ubrał się i pomógł w uporządkowaniu jej ubrania. Wziął ze stołu jej listy, których nie odebrała w operze.

Bungo: – Oto są pani listy. Żegnam panią na zawsze.

Nie wyciągnęła ręki po wręczaną jej paczkę.

Akne: – Cóż to, znowu to samo? Repetycję pan urzędnika?

Bungo: – Nie, pani, to jest koniec.

I popchnął ją lekko w stronę drzwi. Zaniepokoiła się raptownie.

Akne: – Dlaczego, dlaczego to robisz? Schowaj to.

Bungo: – Sama pani wie, lepiej ode mnie. Wie pani dobrze, gdzie pani idzie teraz.

Wepchnął jej paczkę między ręce, a ponieważ jej nie wzięła, paczka upadła i listy rozsypały się. Akne wybiegła z płaczem. „Udaje, ścierwo, nawet teraz zgrywa się, kanalia” – pomyślał, słuchając jej kroków na schodach.

Zbliżył się do starego sakwojażu. Szukał w nim dłuższą chwilę, aż wreszcie znalazł pod stertą starych rzeczy to, czego potrzebował. Był to pistolet bębnekowy dawno widać nieużywany. Pociągnął kilka razy za spust. Bębenek obracał się sprawnie. Odnalazł więc garść nabojęw i zaczął ładować broń.

29. ZNOWU W WILLI AKNE

Bungo przechadzał się pod drzewami, obserwując widoczną za ogrodzeniem willę pani Akne. Palił nerwowo papierosa, ale nie dokończył go i zdeptał nogą na chodniku. Jeszcze raz sprawdził w zanadru ukryty pistolet. Dom pani Akne był cichy i spokojny, jakby tam nikt w tej chwili nie mieszkał.

– Proszę pana, proszę pana – usłyszał nagle głos kobiecy. Przez kraty ogrodu wychylała się pokojówka Akne.

Pokojówka: – Pani prosi jaśnie pana na górę.

Bungo zbłądł, a potem krew mu uderzyła do głowy. Chciał zawrócić i uciec.

Pokojówka: – Pani bardzo prosi.

Ruszył prawie biegiem w stronę pałacu.

Kiedy wchodził, pani Akne zupełnie nieubrana, w rozpiętym szlafroku, czesała sobie włosy.

Bungo starał się opanować wzruszenie.

Bungo: – Czym mogę pani służyć?

Akne (szeptem): – Ciszej, na miłość boską, ciszej, tam śpi mąż po podróży.

W istocie słysząc było silne chrapanie z przyległego pokoju. Spojrzał na panią Akne. Była wstrętnie piękna i przewrotna. Wszystkie demoniczne potęgi wypetły jej na twarz. Odezwała się namiętym szeptem.

Akne: – Po co to zrobić, po co? Kocham cię, jak nigdy nikogo nie kochałam. Ja żyć bez ciebie nie mogę. Myślałam, że zwariuję od wczoraj.

Bungo: – Myślałaś, że ja dziś będę leżał przed tobą na brzuchu i błagał o przebaczenie. Nie, teraz koniec. Pani jest pusta, bezmyślna maszyna do śpiewu. Gramofon jakiś. Mam wstręt do pani. Panią zdobędzie każdy, a przy tym nie zdobędzie nikt.

Akne (szepem): – Ciszej, ciszej, mąż się obudzi.

Bungo: – Jednej chwili z panią więcej być nie chcę. Żegnam.

Akne zgięła się, jakby się na nią zwałił okropny ciężar. Siedziała tak chwilę bez ruchu. „Zdradziła mnie na pewno, kanalia uliczna” – pomyślała.

Bungo: – Żegnam panią.

Łzy zaświeciły w jej biednych, zmęczonych oczach.

Akne (szepem nieprzytomnym): – Nie wyjdiesz, ja nie chcę, ja nie mogę, kocham cię, nie odchodź.

Bungo: – Kłamie pani wszystko. Do widzenia.

Nagle pani Akne wstała i oczy jej błysnęły złowrogim, nienawistnym blaskiem. Dusila się ze złości, zawodu i upokorzenia.

Akne: – Taaak? Idź! Szukaj głębi i prawdy. Idź do swoich głupich podlotków. Miałeś wszystko, sam wszystko zniszczyłeś.

Zaśmiała się nienaturalnie, nerwowo i zaczęła coś sprzątać na szafce koło łóżka. W drugim pokoju zaskrzypiały sprężyny.

Bungo skłonił się i wybiegł z pokoju.

Pędził przez park, nie widząc nic wokół siebie. Nagle wpadł na kogoś, kto zachwiał się pod jego ciężarem, ale jednak wytrzymał. Był to baron Brummel z Inez i ze Stanisławem Ignacym Zdybem. Ten ostatni trzymał w wielkich rękach bardzo kolorową bombonierkę czekoladek.

Brummel: – Co z tobą się stało? Bungo, co tobie jest? Przecież ty masz maskę starego, cierpiącego człowieka.

Bungo uśmiechnął się ponuro.

Bungo: – Byłem w okropnym upadku, teraz jest lepiej. Ale jeszcze jestem słaby i muszę zacząć wściekle pracować. Inaczej może być ze mną źle.

Brummel: – Bungo, Bungo, daj pokój tej kobiecie, to nie dla ciebie. Ty jesteś na strasznie złej drodze.

Bungo wyrwał się z rąk barona i poleciał przed siebie jak wariat. Baron pokiwał głową.

Brummel: – Stare, naiwne dziecko.

30. W DRODZE DO GÓR

Jechał sam w przedziale pierwszej klasy. Za oknem migotały jakieś szczątki pejzażu, koła wagonu łomotały monotonnie na spojeniach szyn.

Wyjął pistolet z kieszeni. Z bębena wysypała sześć kul. Po namyśle włożył jedną z powrotem do komory. Zakręcił bębniem na oślep i podniósł pistolet do skroni. Leciutko nacisnął palcem spust. Trwał tak długą chwilę z zamkniętymi oczami.

„Kanalía, żeby mnie naprawdę kochała, toby mnie nie zdradziła z tym drabem. Dobrze, że puściłem babę i nie wróćę” – szeptał sam do siebie.

Wreszcie odjął pistolet i wstał z kanapy. Otworzył okno. Chłodne powietrze uderzyło go w twarz. Właśnie mijał ich jakiś pociąg. Straszliwy łoskot wdarł się do przedziału. Bungo cofnął się o krok.

A kiedy uspokoiło się za oknem, podszedł bliżej i wyrzucił pistolet daleko w gęste zarośla koło nasypu kolejowego.

31. BŁĄKANIE SIĘ W GÓRACH

Stał na ostatniej przełęczy, skąd rozciągał się przerażająco piękny widok na wielką, u stóp olbrzymich szczytów rozciągającą się dolinę, która przykryta była warstwą białych chmur. Pod tymi chmurami wrzało życie miasta-kurortu. W tej białej nicości słysząc było gwizd lokomotywy, pobekiwania automobilów i jakiś ruch uliczny, a może nawet głosy ludzi.

Wąwozem wydartym w skalnym progu opadała śnieżnobiała nitka wodospadu, którego szum przynosił raz w raz z oddali powiew wiatru. Nad wszystkim wznosiła się olbrzymia masa granitowego kolosa, zamykającego południowy horyzont. Całość przestonięta była lekkim oparem roztopionym w blasku zachodzącego słońca.

Bungo patrzył w tę przepaść pełną chmur i odgłosów dalekiego życia i nagle krzyknął przerażającym głosem.

Bungo: – Edgarze! Edgarze, jestem tutaj.

Odpowiadało mu dłuższą chwilę bardzo wyraźne echo.

Potem rąbał jak wściekły drzewo do ogniska, które buzowało siarczyście pod wykrotem. Zapadał już wieczór. Na tle fioletowego wieczornego nieba widać było zębatą linię szczytów oświetlonych bladopomarańczowym odbłaskiem zorzy.

Bungo owinął się peleryną, siadł przy ogniu z oczami zapłakanymi od dymu. Płomień huczał i trzeszczał, pożerając smolne drzewo. Bungo coraz bardziej zapadał w nieprzytomność. Powoli zaczynał drzemać, wsłuchując się nieprzytomnie w bełkotanie pobliskiego potoku, daleki huk wodospadu i trzask ognia.

Widział w majakach panią Akne mordowaną przez Pogrobowskiego w meloniku. Ratował ją Zdyb ubrany w kostium cyrkowego atlety. Potem przepłynęła gdzieś wzdęta, z wylupionymi oczami twarz Brummela, dokoła której obwijała się mała, z włosami aż do ziemi Inez. Bungo zbudził się.

„Kocham ją, kocham, to być nie może” – bełkotał w gorączce. Usłyszał trzask łamanej gałęzi. „Teraz jeszcze niedźwiedź na mnie wlezie i będzie koniec”. Dorzucił drzewa do ognia. Niedźwiedź odchodził powoli, trzaskając konarami. „Ona nie może być taka, jak jest. To moja wina, że nie umiem jej trzymać” – mówił do siebie i zaczynał znowu majaczyć.

Leżał chory, a Akne schylała się nad nim i całowała go w czoło z najwyższą miłością. W tej chwili wszedł Zdyb, ale Bungo nie miał siły, żeby się poruszyć. Widział, jak Akne, myśląc, że on śpi, zaczęła się całować ze Zdybem, a w końcu Stanisław Ignacy rzucił się

na nią, obejmując ją swoimi potężnymi nogami. Bungo rzucił się ku tej parze szczepionej w miłosnym uścisku i zbudził się raptownie.

Wstał z trudem od ogniska. Zaczął iść przed siebie wśród ogromnych wykrotów. „Tak więc nie ma mnie. Straciłem się. Absolutnie nic nie widzę przed sobą oprócz niej” – mówił głośno, idąc uparcie mimo słabości. Zaczynało już dzień.

„Nie trzeba się poddawać. Jestem, i ona nic mnie nie obchodzi” – rozmawiał ze sobą.

Wreszcie trafił na tę samą przełęcz. Było już widno. Przed nim stały czerwone szczyty gór na tle jasnoseledynowego nieba. Pod nim była przepaść, tym razem bez chmur, ale za to wypełniona jeszcze nocą.

„Jestem bliski obłądu” – powiedział ochrypłym głosem. „Raz na zawsze, psiakrew... Nie, jestem za słaby”.

32. PIĄTY SEN

Siedział na krześle związany sznurami tak mocno, że drgnąć nawet nie mógł. Był całkiem nagi i gorąco było nie do zniesienia. Nad sobą, na wysokości głowy widział wiszącą nad nim też zupełnie nagą panią Akne. Prawie że mógł dotknąć jej końcem języka i czuł potworny, oszałamiający zapach jej ciała. Odwrócona była do niego tyłem i widział tylko jej jasne włosy i białe plecy, a tuż przed twarzą dwie piekielnej białości półkule. Żądza jego dochodziła do niemożliwych już granic, kiedy nagle Akne spadła mu gwałtownie na kolana i wśród wyuzdanych drgawek jej ciała stracił zupełnie przytomność i zbudził się. Na sztalugach stał jej portret z przeciętą na krzyż twarzą. Leżał tam teraz jakiś refleks światła. Wstał, podszedł do obrazu i spróbował wyrównać pokiereszowane płótno.

33. W WILLI AKNE

Szedł w gorączkowym pośpiechu przez park. Wieczór był groźny i ponury. Dął wiatr zachodni, niosąc ogromne, czarne, poszarpane obłoki po gwiaździstym niebie i drzewa szumiały głucho i tajemniczo.

Kiedy wszedł do willi, pani Akne siedziała przy fortepianie, powtarzając jakąś arię. Rękawy jej opadły i ręce jej były całkiem nagie. Włosy miała rozrzucone, usta rozchylone i lubieżnie zamglone oczy zwróciła na Bunga, który w milczeniu uklonił się od drzwi. „I ja chciałem się tego wyrzec, bałwan jestem” – szepnął do siebie.

Akne (cicho): – Zamknij drzwi na klucz.

Bungo zaledwie mógł wykonać jej prośbę. Podbiegł i zwałił się na Akne całym ciałem. Upadli na dywan. Bungo czuł, jak jej miękkie bezwładne ciało pręży się do niego w rozpaczliwym pożądaniu, a usta rozłaziły się zupełnie pod jego pożerającymi, oszalałymi pocałunkami.

Akne: – Nie tak, wstań.

Odwróciwszy się tyłem do niego, uniosła szlafrok do góry. Bungo ujrzał przed sobą, zupełnie tak jak we śnie, dwie piekielnej białości półkule i stracił zupełnie przytomność w nie do wyartykułowania rozwydrzonej rozkoszy wbijania się całą siłą w to rozżarzone

do białości ciała. Akne odwróciła głowę do niego i po raz pierwszy Bungo ujrzał na jej twarzy wyraz zupełnego nasycenia i jakiejś pokornej, zwierzęcej wdzięczności. Wzięła go za rękę i przycisnęła ją do ust z najwyższą czcią i wdzięcznością.

„A jednak jej nie kocham” – myślał. – „Teraz zacząłem ją zadawałać i kocha mnie na nowo. Tylko dlatego, nic więcej”.

Akne (*budząc się*): – Że co? że kogo? kto kogo?...

Znowu wdarł się w jej ciało i znowu stracił przytomność.

34. W CERKWI GRUZIŃSKIEGO OBRZĄDKU

Gruzińska księżniczka Keskeszzyde i dyrektor orkiestry stali przed popem na tle rzęście oświetlonych carskich wrót. Dwaj panowie w czerni trzymali nad ich głowami ogromne złote korony. Niewidoczny chór męskich, niskich głosów śpiewał uroczysty hymn weselny.

Za filarem, w ciasnej ławie, z dala od innych, siedzieli Akne i Bungo. On patrzył na jej delikatny, uduchowiony profil i myślał: „A kokota podła, bestia wyuzdana. O to ci tylko chodzi, żeby cię ścisnąć z należytą siłą. Ale prawdy nie można wydusić. Kłamliwe, przewrotne ścierwo”.

Akne: – Nie wiedziałam, że po to dziś tu przyjdę, żebyś mnie męczył.

Bungo: – Musisz mi powiedzieć prawdę. Chcę tego i tak musi być.

Akne: – Przysuń się do mnie. Dobrze, więc słuchaj.

Była teraz znowu piękna, złowroga i nieodgadniona. Bungo patrzył na nią z zachwytem. „Jezus Maria, co ja teraz usłyszę i co z tego wszystkiego wyniknie”. Pop wkładał już obrączki na palce nowożeńców.

Akne: – Słuchaj, tyle mam do powiedzenia. On mnie zgwałcił dwa razy.

Bungo: – Kto?

Akne: – No przecież sam wiesz. Ten Zdyb. Dwa razy mnie zgwałcił ohydnie i lubieżnie bez udziału mojej woli, a raczej przeciwko. Broniłam się do ostatniego tchu. Ale on jest olbrzym, powalił mnie i zgwałcił. Bardzo to przeżyłam, żebyś wiedział, ile wycierpiałam potem z tego powodu.

Przestała raptem mówić, patrząc nieruchomo w drgające płomienie świec. Wziął ją za rękę. Pani Akne była bezwładna i jakby nieprzytomna. „Udaje, szelma” – pomyślał. – „Nakłamała i odgrywa teraz jeszcze coś nad program”.

Ale poczuł dla niej niezmierną litość i chciał ją pocałować w rękę. Nagle drgnęła silnie, wyrwała mu rękę i popatrzyła mu w oczy przerażonym wzrokiem.

Akne: – Czego chcesz? Odejdź! Przecież między nami nic być nie może po tym, co ci powiedziałam.

Miała silne wypieki na twarzy i była wprost cudowna.

Bungo: – Dlaczego? Teraz właśnie możemy zacząć nowe życie oparte na prawdzie. Pop wprowadzał młodą parę w carskie wrota. Grzmiał potężnie chór basów.

Akne: – Nie, teraz jest właśnie na wszystko za późno. Teraz jest koniec. Zniszczyliśmy nasze szczęście. Ty zniszczyłeś, bo po tym nie mogłabym już żyć z tobą.

Bungo oniemiał. Patrzył na nią jak na szaloną. „Jeżeli sama chce, niech idzie. Ja od niej pierwszy nie odejdę” – pomyślał.

Akne: – Chwilę poczekaj, niech się uspokoję, bo mogę zaziębić gardło.

Siedzieli chwilę w milczeniu. Akne znowu wpatrzyła się w świece cerkiewne. Poprowadzał młodą parę wokół ołtarza. Oboje trzymali końce srebrnej, poczerniałej od starości stuty.

Nagle Bungo postyszał cichy płacz. Akne łkała coraz głośniejsze, ukrywając twarz w dłoniach. Padła na oba kolana, włosy rozsypały się i spłynęły kaskadą po szarym grubym płaszczu.

Po chwili przestała płakać, a widząc, że odrętwiały Bungo nie rusza się z miejsca, wstała i dotknęła jego ramienia.

Akne: – Chodźmy.

Wzięła go za rękę i popatrzyła mu błagalnie w oczy.

Bungo: – Ja także mam nerwy, proszę pani, i nie radzę pani przeciągać struny.

Akne (szepem): – Niech pan weźmie mnie pod rękę.

Poprowadził ją do wyjścia.

Akne: – Zapomnisz o mnie prędko. Trochę będzie ci przykro, a potem pójdziesz do swoich dziewczynek i wszystko się skończy.

Bungo krzyknął nieswoim głosem.

Bungo: – Milczeć, psiakrew!

Akne: – Ciszej.

I z podziwem spozrzała na niego.

Bungo: – Robisz mi ciężką krzywdę i jeszcze śmiesz kpić ze mnie.

W kruchcie cerkiewnej zatrzymała się nagle.

Akne (szepem): – Nie, ja nie mam siły odejść od ciebie. Nie mogę.

Wzruszony Bungo objął ją serdecznie.

Bungo: – Moja biedna, głupia, najdroższa.

Całował ją po oczach i ustach. A potem ogarnęła go wściekła żądza i dowlóktszy nieprzytomną Akne w jakiś mroczny kąt, tak jak stał, w palcie, zwałił się na nią całą siłą.

35. SZPITAL WARIATÓW

Wszyscy czterej, to znaczy Brummel, Childeryk, Bungo i lekarz Edgara, dr Riexenburg, szli ponurą, szpitalną dzielnicą. Było cudowne jesienne popołudnie. Miasto wymyte nocnym deszczem błyszczało kolorowymi ścianami kamienic i pałaców, i zielonymi ośnieżonymi dachami kościołów.

Przez małą furtkę w murze weszli do ogrodu otaczającego ogromny, z czerwonej cegły pawilon. W drzwiach tego pawilonu czekał młody i piękny jak serafin dyżurny doktor.

Riexenburg: – To są przyjaciele chorego. Baron Brummel, Mag Childeryk i pan Bungo.

Lekarz: – Wielki to dla mnie zaszczyt. Panowie pozwól ze mną.

Wprowadził ich do długiego korytarza, a potem otworzył małą separatkę. Doktor wpuścił ich, mówiąc do Riexenburga.

Lekarz: – Jeśli zacznie śpiewać, zawołajcie mnie zaraz. Jestem w sali obok.

Zakratowane okno przesłonięte było zieloną gazą i było tak ciemno, że z początku nic nie można było odróżnić. Riexenburg poszedł w głąb pokoju.

Riexenburg: – Proszę was, nie bójcie się niczego.

Pierwszy podszedł Brummel, za nim Bungo. Ostatni szedł Mag Childeryk, wrywając sobie brodę swymi nerwowymi, chudymi rękami.

Księżę Edgar Nevermore siedział nagi w kucki na łóżku. Głowę miał ostrzyżoną zupełnie i mrużył oczy bez binokli, żując coś szczękami i cmokając ustami, jakby jadł ciągnące się karmelki. Czoło miał ściągnięte straszny wysiłkiem woli, a zmrużone oczy robiły wrażenie, jakby patrzył w jakąś dal niezmierną. Riexenburg dotknął jego ramienia.

Riexenburg: – Słuchajcie, przyprowadziłem wam gości. Nie poznajecie nas?

Edgar podniósł głowę i spojrzał. Widocznie mało co widział bez binokli, bo żadnego to na nim nie zrobiło wrażenia. W tej samej chwili powrócił do dawnej pozycji. Mruczał teraz coś pod nosem syczącym głosem i zaciskał swoje rasowe ręce, podobne do szponów jakiegoś drapieżnego ptaka. Bungo nachylił się nad nim.

Edgar: – Jeszcze jedna maska, tylko jedna. Tej nie mogę opanować. Patrzę w oczy w samo dno. Zbrodni opanować nie mogę. Muszę się nauczyć. Muszę mieć siłę. Jeszcze jestem za słaby na to.

Bunga ogarnęła straszna litość.

Bungo: – Edgarze, obudź się, tego nie ma, zupełnie nie ma. To ci się tylko zdaje. Spójrz na mnie.

Księżę podniósł głowę i spojrzał mu w oczy mętnym, boleśnie zawziętym wzrokiem. Przysunął swoją twarz tuż do twarzy Bunga i patrzył. Nagle dziecinny uśmiech przewiniął się po ogromnych, prześlicznych wargach księcia.

Edgar: – Mój Bungusiu.

Wyszeptał głosem małego chłopczyka i pocałował go w same usta.

Edgar: – Pamiętam. To ty mówiłeś: „I stalowe błyski klingi mego miecza, którym ścinam kwiaty, wieczności nie złamię”. Nie złamię. Co za baliwerny, bezduszne baliwerny.

I nagle skoczył z łóżka na środek pokoju, odrzucając przerażonego Bunga, zaczął tańczyć wyprostowany jak struna, podnosząc tylko nogi, zginając je tylko w kolanach. Przy tym śpiewał skrzeczącym, niepodobnym do własnego głosem bezsensowną piosenkę: *Le plus beau des mirliflores, c'est le duc Nevermore*.

Riexenburg zaczął wypychać swoich protegowanych za drzwi.

Riexenburg: – Chodźcie, prędzej, prędzej.

Korytarzem już biegł młody lekarz o twarzy serafina. Z separatki dochodził rozpaczliwy krzyk: „Bungusiu, ratuj! Bungusiu, ratuj!”.

Wybiegli do ogrodu szpitalnego. Na parterze pawilonu mieszkały chore prostytutki. Podniecone krzykami księcia uczepty się krat okiennych. „Ich komm' von Maxim. Da bin Ich ganz intim” – słyszał było z jednego okna. Śpiewała piękna, melancholijna blondyna, patrząc stęsknionym wzrokiem na ludzi spacerujących na swobodzie. Bungo aż się wzdrygnął, tak była podobna do Akne.

– Picuś, daj papierosa – krzyczała do niego z drugiego okna jakaś dama o wybitnie semickich rysach.

Bungo machinalnie wyjął z kieszeni paczkę papierosów i wsunął ją przez kratę chorej, nieszczęśliwej damie.

Na ulicy czekała zamknięta karetka barona. W oknie pojazdu widać było twarz Inez.

Brummel: – Niech Bogu dziękuję, że tak skończył. Mógł zgnić w więzieniu.

Childeryk: – Pan jest plugawy, panie Brummel.

Mag uklonił się z daleka i razem z Riexenburgiem polecili w boczną ulicę.

36. PRZEJAZDZKA KARETA

Karetka jechała wolno ulicą prowadzącą do śródmieścia. Inez ubrana była w krótkie czarne futro i ogromny kapelusz. Siedziała obok Brummela na głównym siedzeniu karety. Bungo przycupnął na wąskiej ławeczce naprzeciwko ich obojga. Inez patrzyła mu w oczy trochę sennym, trochę wyzwalającym wzrokiem. Zapalając papierosa, spytała leniwie.

Inez: – Cóż, pojedziemy na kawę i ciastka.

Baron wdychał zapach jej jasnorudych włosów i na chwilę osłabł od potwornego, przewrotnego pożądania.

Brummel: – Nie teraz, teraz muszę zrozumieć, czym jest życie samo dla siebie.

Była tak diabolicznie piękna w swojej czarnej, krótkiej sukni, spod której widać było jej cienkie, założone niedbale jedna na drugą nogi w czarnych, jedwabnych pończochach. Baron objął ją raptem i zaczął całować jej wąskie, ruchliwe usta, które pod pocałunkami jego grubych, twardych warg zamieniały się powoli w jakieś drgające, wężykowate, nieokreślone stwory. Cały czas patrzyła przy tym Bungowi w oczy.

Baron Brummel zaczął podnosić jej sukienkę i poczuł gorąco jej złożonych, zaciśniętych nóg w czarnych trykotach.

Brummel: – Daj mi poznać znowu tę piekielną rozkosz. Całe życie jest tylko w tej chwili... Bądź taką jak dawniej...

Ścisnęła jeszcze bardziej nogi i patrząc na Bunga, rzekła zimno.

Inez: – Dostaniesz wszystko po ślubie. Teraz daj mi jeszcze jednego papierosa. Ciocia nie pozwala mi palić.

Pożądanie barona pod wpływem jej oporu i beznadziejności sytuacji doszło do rozkoszy bolesnego, bezwładnego szafu. Nieprzytomnie walczył z jej stalowymi nogami, rwąc nie dający się ściągnąć czarny trykot. Nagle zaczął się wstrząsać okropnymi drgawkami i stracił siebie w uczuciu nieuniknionego, bolesnego w swej przewrotnej bezsilności orgazmu. Ona przyglądała się tymczasem nieruchomym wzrokiem Bungowi. Baron jęknął i zwałił się na jej kolana, liżąc jej tyłdek opiętą szczelnie czarną pończochą. Inez ani drgnęła.

Inez: – Przyjechałam tu, żeby mówić z tobą, a nie robić jakieś głupstwa. Na to będziemy mieli dosyć czasu po ślubie.

Baron wyprostował się gwałtownie i rzekł zimno.

Brummel: – Dobrze, proszę bardzo, możemy rozmawiać.

37. RANDKA Z INEZ

Bungo wszedł niepewnie do Angielskiego Hotelu. Znalazł się w ogromnym hallu pełnym złocień, czerwonych pluszów i dziwacznych marmurów. Recepcjonista uklonił się z szacunkiem.

Bungo: – W którym numerze stanęła panna Inez Vivian?

Recepcjonista: – Zaraz służę szanownemu panu.

Zajrzał do wielkiej księgi o złożonych brzegach.

Recepcjonista: – Dwieście trzynaście. Na drugim piętrze.

Bungo z lekko drżącymi łydkami szedł na górę po miękkim dywanie pokrywającym schody. Uszy miał czerwone, a oczy wychodziły mu z orbit. „Wypadki, będą wypadki” – mruzczał do siebie.

Nerwowo zapukał do drzwi. „Proszę” – postyszał dobrze mu znany głos. Wszedł i zmieszał się okropnie.

Inez stała na środku pokoju pod elektryczną lampą wiszącą u sufitu. Ogromne rude włosy uczesane miała teraz w dwa węzły po bokach i rozdzielone na środku głowy. „Wyrosła przez ten rok i nabrała jeszcze pełniejszych kształtów” – pomyślał. W oczach Inez paliły się isierki przewrotnej kokieterii.

Bungo: – Dobry wieczór pani.

Pocałował ją w rękę.

Inez: – Tak naprawdę to bardzo dawno nie widzieliśmy się.

Bungo: – Przez ostatni rok dużo pracowałem. Malowałem portrety i kompozycje figuralne.

Inez: – À propos, może pan mi powie prawdę, co się dzieje z księciem Edgarem.

Bungo (z *wahaniem*): – Nie wiem dobrze. Podobno mają go jednak wypuścić.

Patrzyła mu ciągle w oczy, tak jak przedtem w karecie. Bungo rozejrzał się zmieszany po pokoju. Spostrzegł fortepian z otwartą klawiaturą.

Bungo: – A pani gra jeszcze?

Inez: – Nie, panie Bungo. Ja teraz piszę wiersze, ale tylko po angielsku.

Zadzwoił telefon. Inez zdjęła ze ściany mosiężną, dziwnie rzeźbioną słuchawkę. Chwilę słuchała czegoś, ale nic nie powiedziawszy do tuby, niecierpliwie zawiesiła słuchawkę.

Bungo: – Ja panią pożegnaj, bo jest późno.

Inez wstała, ale nie żegnała się. Zamyśliła się nad czymś, jakby obmyślając, co ma powiedzieć.

Inez: – Może pan jeszcze zostanie. Jestem sama. Ciocia niespodziewanie wyjechała.

„Czekaj, Akne, stara kanalio, ja ci pokażę” – pomyślał, siadając na kanapie obok Inez.

Inez: – A można wiedzieć, jakie to kompozycje figuralne pan opracowuje? Czyżby znajomych?

Bungo: – Trochę znajomych, trochę nieznajomych. Pracuję pod natchnieniem chwili. Milczała chwilę.

Inez: – Ale pan się nic nie zmienił, panie Bungo. Zdaje się, że tych ostatnich dwunastu miesięcy nie było wcale i że mówimy ze sobą tak jak wtedy.

Bungo: – Nie, pani się myli. Może być, że artystyczne problemy pozostały te same, ale życiowo jestem inny. Niech pani nie myśli, że mógłbym drugi raz w życiu tak postąpić jak z panią. A pani zamiast zostać przy mnie, opuściła mnie przy pierwszej sposobności i to z Brummelem. Potem rzeczywiście popełniłem świństwo, ale tylko dlatego, że panią kochałem mimo wszystko.

Inez: – Nie mówmy o tym, panie Bungo. Jest za późno, aby to naprawić.

Bungo: – Tak chciałbym, aby teraz pani miała do mnie zaufanie. Ja już nikogo kochać nie mogłem. Żyłem zupełnie sam od tej chwili.

Inez: – Tak, tylko słyszę o tym, że teraz pan się kocha w primadonnie opery. Kłamię pan ciągle, tak jak dawniej.

Bungo: – Nie, nie kłamię! Kocham panią dotąd i teraz widzę, jak panią kochałem. Przyznałem się do najgorszych rzeczy; teraz musi mi pani wierzyć.

To mówiąc, chwycił ją za rękę i gwałtownie przyciągnął do siebie. Inez wyrwała mu rękę, odpychała go gwałtownie. Bungo ogarnięty nagłym pożądaniem zaczął ją całować z wściekłością. Inez ostatnim wysiłkiem świadomości odepchnęła go od siebie.

Inez (szepem): – A potem powie pan o wszystkim komuś...

Bungo: – Nie, nie, musisz mi wierzyć, kocham cię.

Rozerwał gwałtownie suknię na niej. Zobaczył przed sobą ciało już nie dziecka, jeszcze nie kobiety.

Wkrótce stracił zupełnie przytomność. Leżał już, dysząc ciężko i nie wiedział, co się właściwie stało. W pokoju było ciemno zupełnie. „Cielę, głupie cielę. Przecież nigdy nie mogłem jej kochać” – szepnął. Inez ocknęła się. Zaczęła cichym, złamanym głosem.

Inez: – Tak tego nie chciałam. Tak chciałam żyć inaczej i być wierną jemu. Po co pan to zrobił, panie Bungo. Na co to panu było.

Zaczął ją całować i uspokajać, oddając się subtelny perwersjom, które ją zupełnie uspokajały. „A zdradziłem wreszcie starą babę. Teraz jesteśmy kwita” – myślał z zadowoleniem.

38. KLÓTNIA W WINDZIE

Podszedł korytarzem do windy hotelowej. Nacisnął taster. Nadpłynęła cicho z dolnych pięter. Otworzył drzwi i zmartwił. W windzie stała Akne i oczy jej coraz wyraźniej przybierały wyraz podejrzliwości i przerażenia.

Bungo rzucił się do niej.

Bungo: – Kocham cię, kocham, nie opuszczaj mnie na tak długo. Ja bez ciebie żyć nie mogę.

Ukrył głowę pod jej kapelusz, zanurzając twarz w jej włosy. Akne stała sztywna i nieruchoma.

Akne (zimno): – Nie, ty mnie nie kochasz. Tyś zaczął niebezpieczną grę. Możesz wszystko stracić.

Bungo: – Co stracić? Co ty gadasz?

Akne: – Nie jestem przyzwyczajona rywalizować z nikim. W orszaku chodzić nie myślę. Jak chcesz, idź sobie do tamtej. Ja cię nie trzymam.

Zaczął przerywanym głosem.

Bungo: – Jak ty śmiesz mówić coś podobnego. Kocham cię jak wariat, a ty mnie posądzasz o jakieś świństwa. Miałem dziś sny potworne, jestem zdenerwowany, nic robić nie mogę. Jak ty śmiesz!

Akne: – Nie, nie chcę nic, nie kochasz mnie, idź do tamtej.

I ruszyła, żeby wyjść z windy. Ale Bungo, krzyknąwszy jeszcze raz: „jak śmiesz!”, zatrzasnęła drzwi i uruchomił dźwięk. Zrzucił jej z głowy kapelusz i schwycił ją jedną ręką za włosy, a drugą za rękę, pchnął ją na pluszową kanapkę, a kiedy upadła, zwałił się na nią i zaczął ją szarpać w zupełnie komiczny sposób, a potem bić pięściami po plecach i niżej, ale lekko, już zupełnie nieszczerze. Akne poddawała się temu z wyraźną rozkoszą, mówiąc namiętym szeptem.

Akne: – Teraz czuję, że mnie kochasz, takie masz mocne ręce, teraz wiem, że możesz mnie zbić naprawdę.

Nie zauważyli oboje, kiedy winda stanęła.

Bungo: – Jak ty możesz nawet przypuścić coś podobnego? Za kogo ty mnie masz? To jest zupełne splugawienie naszego stosunku, te sceny, które urządzasz. Kocham cię, musisz w to wierzyć.

Drzwi windy otworzyły się. Boy z walizkami i para starych Anglików przyglądali się ze zdziwieniem gwałtownym się kochankom.

39. PRZYJĘCIE W PRACOWNI BUNGA

Tego wieczoru towarzystwo było prawie w komplecie. Pracownia Bunga ze swoimi nyzami i zakamarkami z trudem mieściła podpitych gości. Właśnie pisarz Buhaj rzucił się na młodego poetę, wbijając mu węgiel do rysunku między zęby. Księżniczka Keskeszydze zaniósła się histerycznym śmiechem, a jakaś leniwa blondyna zaczęła z całej siły walić w fortepian, improwizując jakąś straszliwą symfonię.

Bungo rzucił się rozdzielić walczących. Ale Buhaj wyrwał mu się z rąk i wskoczył na taboret.

Buhaj: – Zrobimy kabaret. Słuchajcie. Przyprowadzę jeszcze czterech ludzi i jedną demoniczną niewiastę.

Baron Brummel ściągnął go ze stołka i odprowadził do nyz. Tam znowu powstało zamieszanie, ponieważ Buhaj doprowadzony do ostateczności chciał zgwałcić swoją modelkę.

Bungo rysował teraz w notatniku włochatego dramaturga, który tłumaczył coś brzdąkającej na fortepianie blondynie. Przysiadła się Inez.

Inez: – Panie Bungo, ja nie wiem, co mnie jest. Chciałabym mieć jakąś straszną siłę w sobie, żeby móc wszystko przeżyć, wszystko zgnębić, zdusić, o tak. Pana bym chciała zgnębić, żebyście wszyscy tu pętlali na brzuchach przede mną.

Bungo (nie przestając rysować): – Doktor Riexenburg radzi na to wypić szybko szklankę wody.

Inez: – Nie, z panem nie można rozmawiać. Pan nie rozumie. Ja się męczę, potwor nie się męczę.

I wybuchnęła nagle przełamanym, nieszczerym śmiechem. Odłożył album.

Bungo: – Na tych ludzi niech pani patrzy jak na menażerię. To już nie są rzeczywiści ludzie, to są widma czegoś, czego już wcale nie ma. Ja zabrnąłem teraz w takie świństwo, w takie kłamstwa i podłości wobec siebie i innych, że jestem na włosku od zupełnego zniszczenia.

Inez: – Tak. Ale pana świństwa nawet muszą być piękne, muszą być czymś artystycznie ciekawym. A w moim życiu nie ma nic. Chciałabym tylko siebie stracić, ale w życiu, bo na śmierć jestem za słaba.

Bungo: – Niech pani pomyśli, że mnie już nie ma. Jestem tym, którego nie ma. Jestem trupem. Rozmawia pani ze zgniłym trupem. Trupem podwójnym, którego nie ma. I pani chciały być taką?

Powiedział to demonicznym szeptem podniecony alkoholem i własnymi słowami. Musiało jej się naprawdę zdawać, że widzi tego, którego nie ma, bo nagle zakryła twarz rękami i wybuchnęła spazmatycznym, szczerym płaczem.

Brummel rzucił się do niej, odrzucając Bunga.

Brummel: – Proszę państwa, moja narzeczona jest chora. Niech państwo wybaczą, ale dłużej już nie mogę.

Narzucił futro na Inez i wyprowadził ją z pracowni. Bungo westchnął i rzekł do Pogrobowskiego, który spokojnie czytał grubą księgę.

Bungo: – Jestem podły kabotyn. Mówiłem zwykłe głupstwa.

I w tym momencie zobaczył przed sobą panią Akne w płaszczu, na którym były ślady deszczu. „Będzie awantura, nie ma rady” – pomyślał.

Bungo: – Czemu pani jest taka? Co pani jest?

Spojrzała na niego prawie z nienawiścią.

Akne: – Niech pan siebie spyta. Wygląda pan, jakby nie wiem, co robił pan tej nocy.

Bungo: – Nie musimy o tym mówić. Ciągłe pani mnie o coś podejrzewa, o zupełnie urojone rzeczy.

Akne: – To jest wszystko kłamstwo. Lepiej niech pan powie, co pan robił wczoraj.

Bungo: – Wczoraj byłem u barona.

Akne: – Tak? To niech pan sobie idzie do tamtej i dzisiaj.

Wziął ją za rękę. Wyrwała mu ją gwałtownie.

Akne: – Proszę mnie nie dotykać.

I była w tej chwili tak niedostępnie, tak szatańsko piękna, że Bunga przeszedł dreszcz gwałtownego pożądania. Nagle zawył nieswoim głosem.

Bungo: – Co? Ty śmiesz? Ty śmiesz mi wypominać!

Złapał ją z całej siły za ramiona, trzęsąc ją w swoich potężnych dłoniach. Akne przytknęła oczy i z rozkoszą poddawała się uściskom rozwścieczonego Bunga.

A on wpakował ją pod siebie i nie zważając na niebezpieczną sytuację, począł gwałtownie dążyć do tego, żeby złość zmienić na bardziej wartościową dla nich obojga energię.

Akne: – Nie tu, poczekaj, przyjdź dziś do mnie. Kocham cię, wierzę ci.

Bungo: – Przepraszam.

Akne wzięła w obie ręce jego dłonie i przycisnęła je do ust.

Akne: – Dobrze. Jeżeli tak, to zerwij z Brummelami. W tej chwili daj mi słowo, że więcej tam nie pójdziesz.

Bungo: – Daję ci słowo honoru, że więcej tam nie pójde.

Wyjęła z woreczka jakąś kartę i zaczęła się jej przyglądać.

Akne: – Staś Zdyb pisze, że przyjeżdża w tych dniach i chce się ze mną widzieć.

Bungo chwycił ją za rękę i ścisnął z całej siły. Wydusił z siebie strasznym głosem.

Bungo: – Chodź w tej chwili ze mną.

Akne: – Gdzie, po co, puść mnie, boli.

Wtączył ją jak martwą do nędzy, zdarł z niej płaszcz i kapelusz i powaliwszy na łóżko, zaczął bić bez miłosierdzia, tym razem już zupełnie na serio. Pani Akne broniła się początkowo, bełkocząc coś niewyraźnie, po czym omdlała zupełnie. Kiedy się zmęczył, zaczął ją rozbierać. Pomogła mu w tym drżącymi rękami, nie mówiąc nic, tylko całując go od czasu do czasu nieśmiało w dłonie.

Akne (szepem): – Masz, masz, bierz, twoje, wszystko twoje. Spróbuj kochać inne, ty, ty, mój jesteś, mój.

Po pewnym czasie Bungo ocknął się. Zapalił światło. Wszyscy goście już wyszli. Pani Akne leżała z przymkniętymi oczami, zastygła w potwornym kurczu rozkoszy. Miała w twarzy wyraz jakiejś nieziemskiej świętości i spokoju. Chwycił ją za rękę i szarpnął nią gwałtownie. Zbudziła się, spoglądając na niego dziecinnie wystraszoną wzrokiem.

Bungo: – Nie zasypiaj, muszę mówić z tobą. Jeżeli ty będziesz przyjmować tego draba, to koniec z nami.

Akne: – Ach, więc z tego głupstwa robisz mi zarzut. Byłam zła na ciebie, dlatego przeczytałam tę kartę. Bardzo cię przepraszam.

Bungo: – Dobrze. Albo był gwałt i wtedy absolutnie nie mogę ci teraz uwierzyć, albo wtedy nie było gwałtu i nie powiedziałaś mi całej prawdy.

Akne (ze łzami): – Ach, jak ty mnie męczysz, jak ty bez litości jesteś dla mnie.

Bungo: – Muszę wiedzieć wszystko.

Akne (zniecierpliwiona): – A wiesz dobrze. Nie, nie było gwałtu. Ale ja bawiłam się tym człowiekiem, skrzywdziłam go, a on w końcu przestał panować nad sobą. Bałam się skandalu, bałam się jego szaleństwa. Mogłabym cię stracić. Zgubiłam się w tym wszystkim. Ty nie wiesz, ile przecierpiałam. Ty nigdy tego nie zrozumiesz.

Zaczęła cicho płakać jak biedne, skrzywdzone dziecko. „A więc tak” – myślał Bungo. – „Oddała mu się dla uniknięcia skandalu, dla jakiejś korzyści. Cóż innego robi zwykła prostytutka. No, teraz koniec wszelkich nadziei”.

Zaczął z litością całować ją w zapłakane oczy.

Akne: – Teraz wierzysz mi?

Bungo: – Wierzę, kocham cię, uspokój się.

Ale cała ta niejasna mieszanina sprzecznych uczuć zamieniła się w zupełnie wyraźne pożądanie i Bungo znowu stracił przytomność.

Obudziła go z omdlenia Akne.

Akne: – Tu ktoś jest.

Bungo: – Gdzie?

Akne: – U ciebie, w pracowni.

Wyskoczył z niży, okrywając się jej płaszczem. Na środku pokoju obok sztalugi stał książę Edgar Nevermore w wielkim futrze i w meloniku. Oczy księcia były wpatrzone w dal z wyrazem niesamowitego napięcia. Światło latarni błysnęło w jego okularach, czyniąc go na moment podobnym do jakiegoś straszego trupa o fosforycznie błyszczących oczodołach.

Bungo: – Edgarze! Edgarze! Zatrzymaj się!

Ale książę odwrócił się i zaraz znikł w drzwiach.

40. OSTATNIA PODRÓŻ W GÓRY

Bungo otworzył drzwi wagonu. Przed nim uciekała do tyłu ziemia, jakieś drzewa i zarośla, jakieś urwiska skalne. Bungo czuł szaloną pokusę rzucenia się w tę zamazaną pędem przestrzeń. Powoli zszedł na stopień. Trzymał się tylko jedną ręką mosiężnej poręczy. Odjął nogę ze stopnia, wisiał już nad tą pulsującą pędem przepaścią. I raptem ogarnął go strach przed samym sobą. Cofnął się gwałtownie w głąb wagonu.

Potem szedł korytarzem, zaglądając do przedziałów. Wszędzie siedzieli nieciekawi podróżni. Wreszcie znalazł przedział, w którym był tylko jeden mężczyzna skryty za rondem wielkiego kapelusza. Wydawało się, że drzemie.

Bungo usiadł naprzeciwko niego przy oknie. Wtedy podróżny uniósł głowę i Bungo zobaczył przed sobą demoniczną w swoim chłódzie twarz Maga Childeryka.

Childeryk: – Panie Bungo, sądzę, że długa nasza znajomość upoważnia mnie do pewnego rodzaju wmieszania się w pańskie osobiste sprawy? Tak czy nie?

Bungo: – Ależ proszę pana, od pana jednego wszystkiego mogę wysłuchać.

Childeryk: – Umieć oddzielić to, co jest zwykłą plotką, i nie posądzam pana o niektóre rzeczy, które do uszu moich doszły, jakkolwiek książę Nevermore nigdy nie miał na pana dobrego wpływu. Widziałem pana kiedyś w łoży na operze i muszę przyznać, że miał pan wyraz tego rodzaju, że nie miałem nawet ochoty widzieć pana osobiście. Uważam, że pan nie ma prawa w ten sposób marnować swoich zdolności. Obawiam się, że pan mogąc być artystą, może stać się i, co gorsze, zostać na całe życie chłopczykiem bawiącym się w sztukę.

Mag umilkł i patrzył przed siebie wzrokiem pełnym gniewu i zniecierpliwienia.

Childeryk: – Mówiąc ogólnie, wy wszyscy robicie na mnie wrażenie ludzi zupełnie nieuspołecznionych. Wy żyjecie zawieszeni w próżni. Niech pan pamięta, że u nas artysta to jest człowiek, który musi być na czele, musi być tym, który prowadzi.

Bungo (nieśmiało): – Proszę pana, oddaliłem się teraz od dawnego życia i zamierzam

zacząć zupełnie coś nowego. Ale co do tego zbliżenia się do spraw społecznych, mam trochę inne przekonania. Jeżeli kto nie posiada w sobie spontanicznej potrzeby mieszania się do spraw tych, nie powinien bezwzględnie tego robić. Tego nie można wytworzyć w sobie sztucznie. Mam wrażenie, że jestem urodzonym artystą i poza tym...

Mag przerwał mu gwałtownie.

Childeryk: – Ależ do diabła, trzeba być artystą, a nie uganiać się jak ogier za wszystkimi spotkanymi klaczami.

Bungo odpowiedział tonem zimnym, urażony wybuchem Maga.

Bungo: – Najgorszą rzeczą właśnie jest to, że u nas wszyscy czują obowiązek zajmowania się losem narodu. Zajmują się tym ludzie najbardziej niepowołani.

Childeryk: – Pan nie widzi, jak pan chce zubożyć swoje wewnętrzne życie. Człowiek, który pojmuje siebie bez żadnego związku ze społeczeństwem, w którym żyje, z konieczności odejmuje sobie całą sferę przeżywania rzeczy naprawdę wielkich. I przychodzi potem czas, że sztuka nawet wydać się może bezcelowym bezsenssem.

Bungo: – To jest to właśnie, że młody człowiek, który zupełnie nie stworzył swego życia, staje się ni stąd, ni zowąd prorokiem rozstrzygającym najistotniejsze kwestie życia narodowego. Uważam, że poza stosunkiem swoim do społeczeństwa, człowiek ma siebie samego dla siebie samego i o te najistotniejsze wartości powinno mu przede wszystkim chodzić...

Mag przerwał mu, gwałtownie wstając.

Childeryk: – Wiem dobrze, czym jest tworzenie życia, i wiem lepiej od pana. Sądzę tylko, że człowiek tworzy siebie jedynie w stosunku do wielkich zagadnień i świadome pozbawianie siebie możliwości rozstrzygania w sobie wielkich problemów uważam za wewnętrzny zbrodnie. Nie sądzą, aby sposób, w jaki pan żyje, był jakkolwiek twórczością w życiu, a wszystko to ma najfatalniejszy wpływ na pańską sztukę.

Bungo: – Z tym muszę się zgodzić. Tylko wątpię bardzo, czy kiedykolwiek będę zdolnym brać czynny udział w życiu społecznym.

Childeryk: – Nie chodzi mi koniecznie o to, żeby pan rzucał bomby albo zajmował się agitacją czy został postem. Boję się tylko, czy ta rozpowszechniona u nas obojętność wobec społeczeństwa nie jest chorobą nieuleczalną.

Bungo: – Sądząc po mnie, to tak wygląda.

41. ODWIEDZINY W SANATORIUM

Świeciło niskie słońce, zakrywane co chwila przez pędzące duże, ciemne obłoki o jasnych, żarzących się brzegach. Nad prawie ogołoconymi ze śniegu górami przewalał się olbrzymi wał skłębionych chmur. Od czasu do czasu wpadał w dolinę ciepły podmuch wichru, pędząc po drodze tumany kurzu i szumiąc złowrogo w bezlistnych konarach drzew. Zaczynał się typowy fen.

Bungo dochodził już do sanatorium położonego na stromym zboczu góry. Wszedł na bardzo długi taras, gdzie leżakowało mnóstwo chorych ciągle pokaszających i splu-

wających do blaszanych dzbanuszków. Mijał ich z uczuciem grozy. Niósł w ręku złotą chryzantemę.

Kiedy wszedł do pokoju Akne, oślepiło go światło zachodzącego słońca wpadające przez otwarte okno. Nie widząc dobrze, z twarzą skrzywioną od blasku, podszedł do stołu, przy którym pani Akne piła jakieś lekarstwa, i położył chryzantemę. Akne zrobiła ruch taki, jakby miała ochotę rzucić mu się na szyję.

Akne: – Jak się pan ma?

Wyciągnęła do niego rękę, którą on ucałował ze czcią.

Akne: – Może pan się napije kawy?

Bungo: – Nie, dziękuję pani.

Akne: – Niech pan zamknie okno. Chłodno. Jestem jeszcze bardzo chora.

Bungo machinalnie spełnił rozkaz, po czym usiadł na brzegu krzesła. Akne schudła znacznie i rysy zaostrzyły się jej, nadając pozór jakiegoś drapieżnego ptaka. Rozszerzone i podkrążone jej oczy paliły się jakimś gorączkowym, nienaturalnym blaskiem. „Czyż to możliwe, żebym to z nią przeżył te wszystkie historie” – pomyślał.

Akne: – Jak przeżył pan te ostatnie tygodnie. Czy dużo pan pracował?

Bungo: – Ja pisałem do pani o wszystkim.

Akne: – Czy o wszystkim, to nie wiem, ale mniejsza o to.

Robiło się coraz ciemniej.

Akne: – Niech pan zapali lampę.

Przy świetle elektrycznym wydała mu się jeszcze bardziej zmęczona i zmizerowana i poczuł dla niej głęboką litość. Wstał nagle z krzesła, zbliżył się do niej gwałtownie.

Bungo: – Czemuż jesteś taka, co ci jest, nie kochasz mnie?

Wyrwała mu rękę, jakby ją sparzyło jego dotknięcie. To uczucie, że nie jest dostatecznie pożądana, sprawiło jej widocznie straszną przykrość.

Akne: – Niech pan siada, niech pan mówi o sobie.

Bungo: – Słuchaj, nie zaczynaj ze mną grać komedii.

Akne: – Nie robię żadnych komedii. Jesteś zupełnie odmieniony. Nie czuję nic twojej miłości. Nie czuję nawet, że jesteś mężczyzną.

Bungo zatrząsł się z wściekłości i oburzenia.

Bungo: – Jak śmiesz! Milczeć, bo cię zbiję na miazgę, ty!...

Chwycił ją jak piórko i zaniósł na białe łóżko sanatoryjne. I mimo całej złości i pożądania zdążył zauważyć, że zeszczupłała znacznie i że jest niezwykle lekka. Pani Akne nie opierała się wcale.

Po chwili siedzieli już spokojnie na łóżku i oboje nie wiedzieli zupełnie, co mają robić dalej. Pani Akne, widocznie zupełnie niezadowolona z Bungo, miała wyraz niesmaku i zniechęcenia. „Dlaczego ona nie jest moją ciotką na przykład” – pomyślał głupkowato i wziął ją za rękę.

Bungo: – Od czasu, kiedyśmy się rozstali, zmieniłem się bardzo.

Akne: – Widzę to.

Bungo: – Tak, ale ty nie rozumiesz, dlaczego tak jest.

Krzyknęła gwałtownie.

Akne: – I nie chcę wiedzieć. To jest wpływ tych wszystkich przyjaciół, a najpewniej przyjaciółek. Idź sobie do nich.

Bungo (rycząc): – To jest plugawe świństwo, co pani mówi w tej chwili! Niech pani sobie przypomni, kto wprowadził całą ohydę w nasz stosunek. Kto zepchnął wszystko w najobrzydliwsze błoto. Pani sama!

Akne (jadowitym szeptem): – Nie mogę tego odwołać, co jest prawdą.

Bungo: – To w takim razie żegnam panią. Nie zobaczymy się już więcej.

I ruszył w stronę drzwi.

Akne (demonicznie): – Panie Bungo, niech pan pamięta, że jeżeli pan teraz wyjdzie, to pan tu już więcej nie wróci.

Bungo: – Tym lepiej dla mnie i dla pani.

Wybiegł, trzasnąwszy drzwiami z wściekłości. Pędził pustym już tarasem, gdzie stały tylko leżaki jak dziwaczne stwory, pędził tak i mówił do siebie: „Dobrze się stało, dobrze”.

Wpadł do lasu pełnego wichury i szumu. Biegł, klucząc między drzewami. Nagle zdało mu się, że widzi jakiś cień posuwający się za nim z boku. Zatrzymał się raptownie i spytał tak strasznym głosem, że go prawie nie poznał: „Kto tam?”. Ogromne sosny zawyły porywem wichury i Bunga ogarnęło szaleńcze przerażenie. Rzucił się przed siebie, ale przed nim nie było już lasu, była tylko przepaść pełna chmur, albo raczej huku morza, i leciał w tę przepaść bez końca.

[sierpień-wrzesień 1972]

Przemysław Kaniecki

NOTA

Maszynopis scenariusza według powieści Witkacego odnalazła w 2009 roku pośród materiałów z berlińskiego archiwum Jana Lenicy, zmarłego w październiku 2001 roku, Ewa Czerwiakowska. Badacze o powstaniu takiego scenariusza i podejmowanych w latach 70. próbach realizacji filmu mieli dotąd tylko szczątkowe informacje. Wątek adaptacji *622 upadków Bunga* – oprócz tego, że pojawiał się w biogramach Jana Lenicy, niedoszłego reżysera filmu, i Tadeusza Konwickiego, autora scenariusza – podnosił w swoich wypowiedziach Konwicki, z żalem wspominając, że projektu tego nigdy nie udało się zrealizować. Miał to być debiut pełnometrażowy Lenicy, zrealizowany jako tak zwany film kombinowany, częściowo aktorski, częściowo animowany¹.

¹ Zob. zwłaszcza T. Konwicki, *Pamiętam, że było gorąco*, rozm. przepr. K. Bielas i J. Szczerba, Kraków 2001, s. 215.

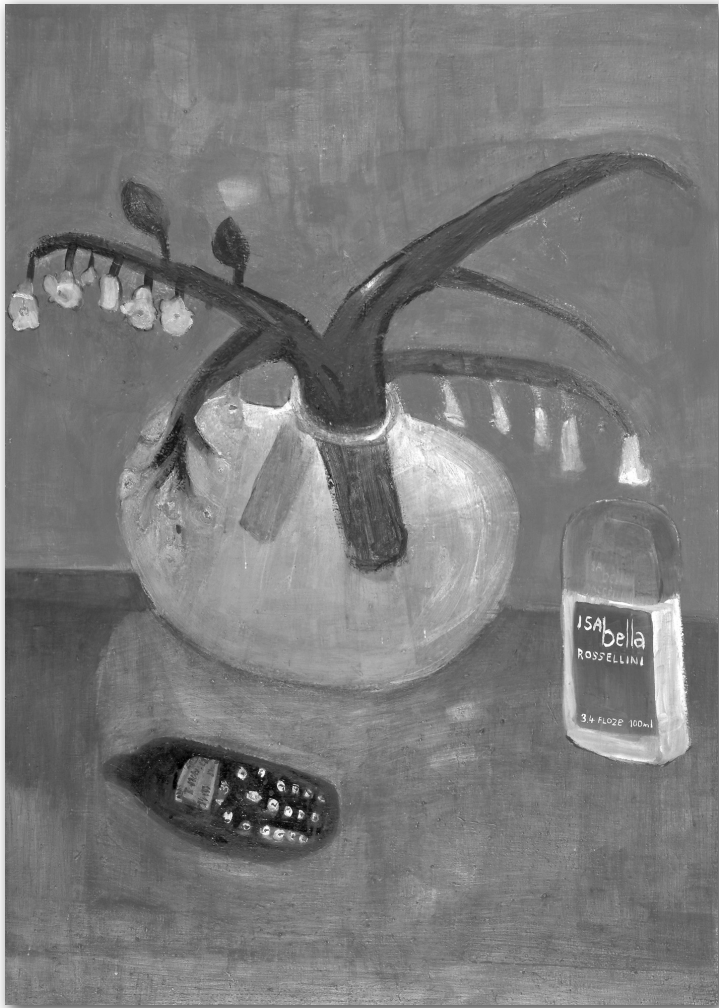
Tekst adaptacji stał się już przedmiotem analizy historycznofilmowej. Omówił go Tadeusz Lubelski, który ustalił na przykład dokładnie datę jego powstania, przybliżył dzieje projektu, osadził go w kontekście twórczości obu artystów oraz ówczesnej kinematografii polskiej i wydarzeń kulturalnych (fala zainteresowania Witkacym)². Lubelski pozyskuje do swojego wywodu między innymi informacje z listów Tadeusza Konwickiego i jego żony Danuty z Leniców (listów pisanych od lat 60. do 90.; odnalezione zostały one również w materiałach berlińskich, posiada je już obecnie Maria Konwicka), gdzie wątek „Bungowski” pojawia się kilkakrotnie, najpierw w czasie powstawania scenariusza i starań o możliwość jego nakręcenia, następnie w okresie, kiedy próby te zakończyły się fiaskiem, wreszcie i później, gdy zdarzały się okoliczności ewentualnie sprzyjające projektowi.

Lenica najpewniej przez lata udoskonalał tekst. Nie pracował już jednak na odnalezionym polskojęzycznym maszynopisie, prawdopodobnie przerabiał jego wersję francusko- bądź niemieckojęzyczną (film miał być koprodukcją międzynarodową, z korespondencji wynika, że sporządzono przekłady właśnie na język francuski i – prawdopodobnie – niemiecki). Odnaleziony maszynopis polskojęzyczny jest wersją pierwotną: wszelkie wątpliwości rozwiewa zachowany szczęśliwie rękopis, który ku swemu zaskoczeniu – i ku jeszcze większemu zaskoczeniu samego Tadeusza Konwickiego – odnalazłem w domu autora, gdy jesienią 2010 roku przekazywane były do Biblioteki Narodowej rękopisy kilku jego książek. Mimo że na karcie tytułowej manuskryptu widnieje adnotacja: „scenariusz: Jan Lenica”, charakter pisma jest ewidentnie Konwickiego, tak na tej, jak na reszcie kart (takie określenie autorstwa miało oczywiście w intencji szwagra Lenicy pozwolić uniknąć przynajmniej jednego z problemów, jakie stawać miały na przeszkodzie realizacji).

Scenariusz jest zresztą sporządzony od początku do końca odręcznie, w przeciwieństwie do późniejszych adaptacyjnych scenariuszy Konwickiego (jak wiadomo, w Polsce kserokopiarki pojawiły się dopiero w drugiej połowie lat 70.). Przy adaptacjach *Doliny Issy* Czesława Miłosza, *Dziadów* Adama Mickiewicza, *Brata naszego Boga* Karola Wojtyły przejmowane z oryginału dialogi – przenoszone zawsze wiernie, bez ingerencji w język autora pierwowzoru, choć oczywiście skracane – oraz wybierane obszerne frazy narracyjne były już po prostu wycinane z kserokopii wydań pierwowzoru i wlepiane w odpowiednie miejsca nowej konstrukcji, przepisywanej później przez maszynistkę.

Rękopis *Bunga* całkowicie pokrywa się z tekstem omawianego maszynopisu.

² T. Lubelski, „Bungo”. *Niezany scenariusz według Witkacego* [w:] *Kompleks Konwicki*, pod red. A. Fiuta, T. Lubelskiego, J. Momry, A. Morstin-Popławskiej, Kraków 2010.



Hana Puchová, *Isabelle Rossellini*, akryl na płótnie, 100x700 cm, 2003